

SPOTKANIE ze ZDZISŁAWEM SZCZEPANIAKIEM

z okazji jubileuszu 50-lecia pracy twórczej



ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

– Dziennikarz (reporter, publicysta, felietonista, prozaik i poeta).
Członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Zdzisław Szczepaniak o sobie

Urodziłem się w roku 1941 w Łodzi. Jestem żonaty, mam dwoje dzieci: córkę i syna.

W r. 1965 ukończyłem studia na Uniwersytecie Łódzkim otrzymując dyplom mgr filologii polskiej. W roku 1962 rozpocząłem (za zgodą dziekana Wydziału Filologicznego), praktykę dziennikarską w redakcji „Dziennika Łódzkiego”, która rok później zamieniła się w wieloletnią pracę etatową w najstarszej gazecie naszego regionu. W tym czasie nawiązałem też współpracę z łódzkim tygodnikiem „Odgłosy” oraz Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi, dla której przygotowywałem szereg komentarzy do filmów przyrodniczych, edukacyjnych itp.

Zdobywane przez lata i w różnych działach „DŁ” (miejski, wojewódzki, ekonomiczny, społeczny i kulturalny) doświadczenie dziennikarskie pozwoliło mi w r. 1975 na objęcie funkcji kierownika Działu Kulturalnego „DŁ”. Pełniłem ją przez 5 lat, tj. do 13.XII.1981 r., kiedy to, w związku z wprowadzeniem sta-

nu wojennego, zostałem, wraz z grupą koleżanek i kolegów, usunięty z redakcji i pozbawiony na wiele lat możliwości pracy w mediach. Kilka miesięcy później (w maju 1982 r.) zostałem internowany w więzieniu w Łowiczu, gdzie zachorowałem i skąd po kilku tygodniach powróciłem do domu w stanie, który „zaowocował” przyznaniem mi niewielkiej renty inwalidzkiej III grupy.

Dorabiałem do niej, w celu zdobycia środków na utrzymanie rodziny, podejmując się najrozmaitszych zajęć – zaczynając od „bukinisty” wyprzedającego na pobliskim rynku część, gromadzonych przez lata księgozbiorów. Czytywałem także w kinach filmowe listy dialogowe, a z czasem, dzięki pomocy ze strony dyrekcji łódzkiego oddziału Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, mogłem pracować jako jego lektor – wygłaszając odczyty w szkołach, bibliotekach, klubach seniora, świetlicach społecznych itp.

Prowadziłem też wykłady w łódzkim Uniwersytecie III Wieku, a dzięki dawnym kontaktom i przyjaciołom z WFO zarabiałem na życie i poznawałem tajemnice filmowego planu oraz łaskawość X Muzy. Po statystowaniu w filmach reż. Marka Piastka i Feliksa Bajona, pełniłem rolę narratora oraz wykonawcy najróżnorodniejszych ról „aktorskich” w takich filmach Jana Jakuba Kolskiego jak „Świt słowiańskiego jutra” czy „Mały dekalog”.

W latach stanu wojennego i późniejszych brałem też udział w różnego rodzaju przedsięwzięciach (spotkania, prelekcje, odczyty) organizowanych przez łódzkie Duszpasterstwo Środowisk Twórczych. Nie spuszczałem też dziennikarskiego oka z ówczesnej rzeczywistości, choć legalne wyrażanie opinii na ten temat nie wchodziło, niestety, w rachubę. Dlatego też mój debiut poetycki (pod pseudonimem Marcin Nawrot) mógł mieć miejsce wyłącznie w podziemnym miesięczniku „Kurs”, co stało się w r. 1983. Zamieszczony tam wiersz znalazł się potem w zbiorze utworów powstałych w latach stanu wojennego i późniejszych. Teksty te opowiadały o tym, co wówczas czułem, widziałem, co przeżywałem wraz z łodzianami.



„Silna grupa pod wezwaniem”: Od lewej synowa Katarzyna, wnuczek Mikołaj, córka Joanna, syn Adam. W objęciach dziadka: wnuska Zuzanna i wnuczek Julian.

mi. Były główną formą moich dziennikarskich wypowiedzi, a docierały do czytelników pod postacią samodzielnie przeze mnie kolportowanej „bibuły”...

„Wyfrunęły na wolność” dopiero w r. 2009, jako **„PODZIEMNE PTAKI”**, w tomiku pod takim właśnie tytułem, wydany dzięki opiece łódzkiej „Solidarności” oraz innych ludzi dobrej woli.

Z kolei pierwszą reportażową książkę pt. **„PRZYGODZIE NA IMIĘ „POGORIA”** (wydaną w KAW-ie w r. 1984) będącą relacją z rejsu barkentyną „Pogoria” do polskiej bazy polarnej u brzegów Antarktydy, uchroniło przed zakazem publikacji, lub nadmierną ingerencją cenzury, głównie miejsce akcji moich antarktycznych opowieści. Podobnie łaskawie potraktowano pierwszy zbiór wierszy dla dzieci (również o wyraźnie morskim rodowodzie) zatytułowany **„ABECADŁO W MORZE WPADŁO”**, który ukazał się w r. 1987 staraniem Wydawnictwa Łódzkiego.

W tym miejscu koniecznie muszę dodać, że w moim życiu – a później także w dorobku reporterskim i literackim – niezwykle ważną rolę odgrywało (i nadal odgrywa) uprawiane od roku 1972 po dziś dzień – żeglarsstwo. Po zdobyciu patentu jachtowego sternika morskiego za najlepszy sposób zwiedzania świata i zbierania materiałów do reportaży i książek uznałem wędrowkę pod żaglami harcerskich jachtów („Aldis”, „Odkrywcą”, „Zawisza Czarny”, „Polski Len”) po różnych morzach i oceanach świata. Pozwoliło mi to na wzięcie udziału w kilku wspaniałych wyprawach i rejsach oceanicznych, podczas których „zaliczyłem” pod żaglami ponad 40 tysięcy mil morskich. To właśnie żeglarska pasja uczyniła ze mnie autora książek o urokach żeglowania „z wiatrem i pod wiatr”, a także żeglarskich piosenek, czyli szant, które – zarówno książki, jak i piosenki – cieszyły się powodzeniem nie tylko wśród żeglarskiej braci.



Kasia i ja wspieramy się od lat

Oczywiście wspomniane publikacje będące owocem wieloletnich żeglarskich doświadczeń i przygód, a także tomiki poetyckie mogące przekazać choć część nurtujących mnie przeżyć i refleksji powstały już w czasach odmiennych od tych, w których nie miałem również szansy na publikację artykułów i reportaży o tym wszystkim co widziałem i przeżywałem wraz z mieszkańcami mojego rodzinnego miasta w trudnych latach 1981-1989, a co składało się na nasz polski los do czasu tzw. transformacji.

Do czynnego wykonywania zawodu dziennikarskiego mogłem powrócić dopiero w sierpniu 1990 r. obejmując stanowisko zastępcy redaktora naczelnego „Głosu Porannego” – gazety, która powstała w miejsce dawnego organu PZPR, czyli „Głosu Robotniczego”. Rok

później wróciłem do macierzystego „Dziennika Łódzkiego” na stanowisko kierownika „Działu Kultury”, a po kilku miesiącach otrzymałem propozycję objęcia funkcji redaktora naczelnego tej gazety.

W marcu 1992 roku rozpocząłem pełnienie tych obowiązków traktując ów awans i zaszczyt, jako ukoronowanie dotychczasowych, prawie 20-letnich, dziennikarskich doświadczeń i związków z „Dziennikiem”. Niestety, dość szybko okazało się, że moje przemyślenia i plany dotyczące linii redakcyjnej, sposobu redagowania gazety oraz obowiązków redaktora naczelnego wobec zespołu i czytelników nie bardzo przystawały do planów i oczekiwań ówczesnych właścicieli „Dziennika” oraz ich łódzkich przedstawicieli. W tej sytuacji, po kilku miesiącach nieskutecznych prób nawiązania partnerskiej współpracy z ważniejszymi ode mnie „decydentami”, złożyłem rezygnację z funkcji naczelnego, rozpoczynając z dniem 1 listopada 1992 nowy etap niezależnego dziennikarskiego życia w formule tzw. „wolnego strzelca”.

Na początek postanowiłem spróbować swoich sił przed mi-



Na „łódzkich kresach”



Na planie serialu „Rody fabrykanckie”

krofonem radiowym prowadząc autorskie audycje (reportaże i felietony). Jako „radiowiec” prezentowałem słuchaczom „**Radia Parada**” m.in. satyryczne dialogi swojego autorstwa zatytułowane „Rozmówki polsko-polskie”, a później – przed mikrofonami „**Radia Classic**” – prowadząc przez dwa lata autorską audycję pn. „Spotkanie z przygodą”.

Po roku 1990 zacząłem także publikować swoje wiersze w łódzkich periodykach, miesięcznikach i prasie codziennej. Oczywiście nie porzuciłem też dziennikarstwa prasowego i w latach 1993-1997 podjąłem nieetatową współpracę z redakcją codziennej łódzkiej gazety „**Wiadomości Dnia**”, jako autor cotygodniowych felietonów pt. „Krajobraz powszedni” oraz z łódzkim miesięcznikiem pn. „**Puls biznesu**” – również jako autor zamieszczanych tam felietonów pt. „Widok z boku” oraz „Szczypta soli”. Swoje teksty dziennikarskie publikowałem także w takich łódzkich periodykach i miesięcznikach, jak „**Kalejdoskop**”, „**Tygiel kultury**”, „**Kultura i biznes**”.

We wspomnianych latach formę bardziej stałą niż to było niegdyś przyjęła moja praca na planie filmowym. W r. 1995 znany łódzki reżyser Leszek Skrzydło powierzył mi rolę narratora w jego wieloodcinkowym cyklu telewizyjnych filmów pt. „**Rody fabrykanckie**”.

Dużo większym wyzwaniem był jednak udział w realizacji 75 odcinków historycznego serialu dla młodzieży pt. „**Wehikuł czasu**” (w reżyserii Mikołaja Haremskiego) powstającego, w latach 1995-1998, w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych na zamówienie II Programu TVP. Po napisaniu założeń programowych do tego cyklu zostałem autorem scenariuszy do kilku odcinków, a także otrzymałem szansę, aby po amatorsku zmierzyć się z szeregiem zadań aktorskich i rolę prowadzącego „**Wehikuł czasu**” – Profesora Gigabajta.



Przy pracy nad kolejną książką



I takie zajęcia dziennikarskie przyszło mi wykonywać

W tym radiowo-filmowym okresie nie zaniedbywałem również pracy literackiej, czego efektem była publikacja tomu reportaży pt. „**BIGOS TROPIKÓW**”, w których opisywałem smak przygody (i trud pracy ochotnika-marynarza) na jednym ze statków Polskich Linii Oceanicznych w rejsie do portów Afryki Wschodniej, Arabii Saudyjskiej i Jemenu. Dla odmiany tom opowiadań pt. „**DZIEWCZYNA Z TROGIRU**” nawiązywał do osobistych przeżyć i doświadczeń z pogranicza spraw i wydarzeń określanych zazwyczaj jako „nieprawdopodobne, a jednak... prawdziwe.”

Natomiast najmłodszych (i bardzo przeze mnie cenionych) czytelników postanowiłem rozbawić wierszami pomieszczonymi w zbiorze pt. „**RECEPTA NA NUDE**”.

Od 1 listopada 1998 r., po krótkim epizodzie pracy w łódzkim oddziale „**Super Expressu**”, wznowiłem pracę w macierzystym „**Dzienniku Łódzkim**” – tym razem jako publicysta i reporter. Niestety, ciężka choroba wzroku zmusiła mnie do zrezygnowania z etatowej formy wykonywania mojego zawodu i przejścia, z dniem 1 kwietnia 2002 roku, na emeryturę. Po długim okresie rekonwalescencji podjąłem pracę dziennikarską w formie paroletniej współpracy z łódzkim miesięcznikiem „**Piotrkowska 104**”, jako autor stałych recenzji („Regał pełen łodzi”), reportaży i artykułów problemowych. Kontynuowałem również dorywczą współpracę ze wspomnianymi wyżej periodykami, do których dołączył kwartalnik pn. „**Kronika Łódzka**”.

Doświadczenia z planu filmowego zaowocowały (w r. 2009) propozycją napisania komentarza do filmu w reżyserii A. Czuldzy „**Nekropolis. Trójjprzymierze cieni**”, w którym powierzono mi także rolę narratora.

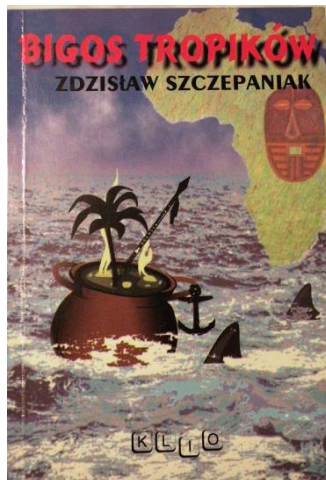
Mimo mojej etatowej nieobecności ciągle otwarte pozostają dla mnie łamy „**Dziennika Łódzkiego**”, dzięki czemu pisane przeze mnie od czasu do czasu reportaże mają szansę trafić do szerszego grona czytelników.

Niemало wysiłku przeznaczałem również w ostatnich latach na przygotowanie kolejnych publikacji książkowych.

I tak tom reportaży pt. „**Z WIATREM I POD WIATR**” jest opowieścią o drodze pod żagle żeglarskiego żółtodzioba, z którego przeżyciami z pewnością łatwiej się utożsamiać większości czytelników, jakich być może dopiero czekają pierwsze cisze i sztormy, pierwsze dyżury w kambuzie i obowiązki kuka, nocne wachty, bliskie i dalekie porty i rejsy, które – jak na przykład ten pod żaglami „**Zawiszy**” – zaliczą kiedyś, wraz ze mną, do niezapomnianych.

W zbiorze wspomnień pt. **„NA ŁASCE X MUZY”** (pisanych m.in. „ku pokrzepieniu serc” jej licznych pracowników przeróżnych specjalności) nawiązuję do swoich przeżyć i obserwacji na planach filmowych nie ukrywając ich humorystycznego tła i nie unikając autoironii. Opowiadałam o tajemnicach i zagadkach filmowego świata oglądanego okiem dziennikarza, a jednocześnie aktora-amatora, od strony „kuchni” i z drugiej strony kamery.

Wydany niedawno **„CZŁOWIEK Z EPOKI WIĘZIEŃ”** to z kolei dokumentalna opowieść z okresu przełomu XIX i XX wieku – przywracająca łódzianom pamięć o wybitnym łódzkim działaczu rewolucyjnym i niepodległościowym Aleksym Rzewskim (pierwszym – wielce zasłużonym dla miasta i regionu – prezydencie niepodległej Łodzi) oraz czasach, w których przyszło mu żyć i walczyć.



aktywnych form przekazywania młodemu pokoleniu i lokalnej społeczności wiedzy o najnowszej historii Polski, za życzliwość i wsparcie dla przedsięwzięć Instytutu Pamięci Narodowej”.

Wspominając te miłe momenty wyznam z należytą jubileuszową skromnością, że w kolejnym 50-leciu nie zamierzam spocząć na wymienionych wyżej laurach i nie tracę nadziei na zainteresowanie wydawców owocami moich dalszych przemyśleń, dociekań, reporterskich poszukiwań oraz nieograniczonej żadną autocenzurą wyobraźni.

W rezultacie splotu tych wszystkich działań udało mi się zakończyć pracę nad kilkoma autorskimi przedsięwzięciami, dzięki czemu do poddania się edytorskiej weryfikacji (i łaskawości!) czekają:

Z pomocą ludzi dobrej woli udało mi się także przekazać czytelnikom niektóre moje wiersze zebrane w tomiku pt. **„NA PROGU NADZIEI...”**. Są one poetycką relacją z długich (i ciągle jeszcze niezakończonych) poszukiwań odpowiedzi na pytania o podłoże nadziei wyrażanej od wieków słowami: „Non omnis moriar...”

Jestem także współautorem oraz inicjatorem wydania zbioru reportaży łódzkich dziennikarzy, publikowanych na łamach prasy w latach 1960-2010. Zbiór ten opatrzony tytułem **„ŚLADAMI LUDZI I ZDARZEŃ”** ukazał się pod koniec 2013 r. pod opieką edyorską łódzkiego wydawnictwa „Literatura”.

Na koniec parę słów o powodach do osobistej satysfakcji – zapewniam, że pozbawionej cech pychy czy samochwalstwa – z jaką odważam się spojrzeć na siebie „jubileuszowo”:

- Otóż za szczególnie wyraz uznania dla mojej pracy dziennikarskiej i pisarskiej uważam przyznanie mi przez środowisko księgarskie (w listopadzie 2006 r.) **Złotej Honorowej Odznaki Stowarzyszenia Księgarzy Polskich**.
- W pewnego rodzaju „tytułarną dumę” wbiła mnie z kolei wspólna decyzja Polskiego Towarzystwa Nautologicznego oraz Ligi Morskiej i Rzecznej, w efekcie której zostałam w r. 2006 uhonorowana tytułem **Kawalera Komandorii Łódzkiej** i obdarowana **„Certyfikatem Zasłużonego Wolontariusza Morza”**.
- Wiele radości przyniosła mi także decyzja środowiska żeglarskiego rekomendująca w r. 2007 moją książkę **„Z wiatrem i pod wiatr”** do ogólnopolskiej, prestiżowej nagrody im. **Kapitana Leonida Teligi**.
- W godnym miejscu – wśród swoich najważniejszych pamiątek – przechowuję również nadany mi (w 2011 r.) przez dyrektorkę łódzkiego Oddziału **Instytutu Pamięci Narodowej** dyplom z wyrazami uznania, za „wspieranie

- **„Maria, córka Weroniki”** – osadzona mocno we współczesności powieść będąca swego rodzaju „dziennikiem” prowadzonym przez łódzką nauczycielkę – wnikliwą i dowcipną obserwatorkę „czasu, w którym żyjemy...”
- **„Arcanus, czyli w pułapce awatara”** – powieść dla młodych ludzi od lat 10 do ... przed którymi komputery nie mają już tajemnic, a wirtualna rzeczywistość fascynuje w sposób szczególnie i kusi do niezwykłych podróży, z których niełatwo czasem znaleźć drogę powrotu do domu...
- **„Żeglarz wśród „Orlich gniazd”** – to pełna faktów, legend, anegdot, zdjęć i reporterskich komentarzy relacja z pieszej wędrówki autora po jurze krakowsko-częstochowskiej i opowieść o cudach i tajemnicach jednego z najpiękniejszych szlaków turystycznych Polski. Nie jest typowym przewodnikiem turystycznym, ale może być uzupełnieniem wielu z nich i dobrym „towarzyszem podróży”, dla tych wszystkich, którym same mapy, kolory szlaków i adresy miejsc noclegowych nie wystarczają.
- **„Na łasce oceanu”** – to książka dla tych, którzy wierzą w nieporównywalną z niczym urodę „róży wiatrów na kompasie”. Szczegółowa i bardzo osobista reporterska relacja z rejsu małym drewnianym jachtem przez Atlantyk – z Gdyni do Nowego Jorku i Montrealu w Kanadzie, a jednocześnie opowieść o osobistym „odkrywaniu Ameryki” oraz niespodzianek, jakie gotuje żeglarzom słynny „Trójkąt Bermudzki”.

W poetyckiej tece czeka też na przychylność wydawcy

- zbiór wierszy pt. **„Za każdy kamień Twój...”** – poświęcony najmłodszym powstańcom warszawskim
- oraz wybór tekstów poetyckich z ostatnich lat zatytułowany **„Z dymu i ognia”**

Na koniec warto, być może, dodać parę słów o moich dalszych literackich planach.

- Mieści się w nich np. opowieść zatytułowana groźnie: „**REPORTER i ... „KOSTUCHA**”, a dotycząca dość szczególnych przygód, jakich doświadczyłem podczas moich wypraw i podróży. Do decyzji podjęcia tego tematu skłoniły mnie... zadawane podczas spotkań autorskich, pytania czytelników, którzy z wielką ciekawością dociekali, czy znajdowałem się czasem w sytuacjach zagrażających życiu, jak one wyglądały i jak na nie reagowałem...

Przyznam, że najczęściej zbywałem tę ciekawość oświadczając, iż nie byłem nigdy korespondentem wojennym, a jedynie dość wścibskim (choć nie zawsze rozsądnym i unikającym niebezpieczeństw) reporterem, toteż w porównaniu z doświadczeniami moich kolegów, znajdujących się często na polach bitew i w prawdziwym zagrożeniu życia, nie bardzo mam o czym mówić. Z czasem jednak posiane przez czytelników „ziarno ciekawości” weszło we mnie pewnymi wątpliwościami i po dłuższym zastanowieniu doliczyłem się przynajmniej dziesięciu wypadków, w których wspomnianą wyżej „Kostuchę” miałem tuż, tuż za plecami. Działo się to czasem w sytuacjach naprawdę dramatycznych, ale częściej – i dla mnie na szczęście – tragikomicznych. Najważniejsze, że dzięki przychylności losu udało mi się wyjść z nich cało – o czym z satysfakcją, ale bez „śmiertelnej” powagi, postanowiłem jednak napisać...

- Kolejnym tekstem – tworzonym z mozołem od lat, uzupełnianym, przerabianym i pisanym ciągle na nowo – jest zbiór esejów (choć to zapewne za duże słowo), w których staram się (uczciwie, choć nie bez pewnego lęku) określić obecny kształt mojej „wiary i nadziei” w to, co zwykło się potocznie i dość często nazywać „życiem po życiu”. Zainteresowanie tym tematem wynika niewątpliwie z osiągnięcia wieku, w którym takie zainteresowanie nie jest ani głupie, ani przedwczesne.

W swoich rozważaniach (opatrzone tytułem „**DO NIEZNANEGO BRZEGU**”) nie tyle bezczelnie, co z wielką pokorą – „władzę się z Bogiem” – próbując zbudować na fundamentach filozoficzno-religijnych (konkretnie: chrześcijańskich) odpowiedź na nurtujące mnie pytania wychodzące poza zakres dogmatów, uprzedzeń, braku tolerancji dla myślących i wierzących inaczej. Na razie – i coraz częściej – nabieram przekonania, że najważniejszą i wystarczającą pointą tych kilkudziesięciu stron pełnych rozterek, niepewności, pytań bez odpowiedzi, lęków i niczym nieugaszonej nadziei będzie najpełniejsze w swojej, jakże prostej, formie wyznanie: „Confiteor Dei Omnipotentii...”

Notka autobiograficzna przygotowana przez Zbigniewa Szczepaniaka dla Biblioteki Wojewódzkiej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi w związku z 50-leciem pracy dziennikarskiej i 30-leciem pracy literackiej.

Łódź, styczeń 2014 r.

PODZIEMNE PTAKI

*Skrzydła – z cienkiej bibułki,
piórka z kiepskich czcionek...
Ktoś was zgniecie, wyrzuci,
ktoś przeczyta ukradkiem,
Jeśli wokół nie dojrzy
jakichś WRON albo „wronek” ,
Jeśli szpicel się czujnie nie przygląda przypadkiem.*

*Zima ich – waszych wrogów, czyja wiosna – wie każdy
Kto bibułę roznosił, kto te mrozy przetrzymał,
Kto przyjaciół nie sprzedał, nie był w gębie odważny,
Kogo strach się przed ZOMO nie imał.*

*Wykluwacie się w czasie, który ciepłem nie tuli
Ale bez was byłoby jeszcze straszniej i ciemniej
Sprawcy zawsze „nieznani” – od nieznanej śmierci kuli
Lub ucieczka od wiary daremnej...*

* * *

*Och, wy ptaki podziemne,
Chociaż wolne jak nigdy,
W chłodzie, głodzie i w śnieżnej zawiei.
Kto was chętnie przygarnie,
Kto w opiekę da innym,
I okrucichów podsypie nadziei..?*

(Luty 1982 r.)

Wiersz ze zbioru *Podziemne ptaki*, Łódź, RIG, 2008.



DOROBIEK LITERACKI

Proza:

- *Przygodzie na imię „Pogoria”*, Łódź, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1984
- *Bigos Tropików*, Łódź, Agencja „Klio”, 1997
- *Dziewczyna z Trogiru i inne opowiadania*, Łódź, „Piątek Trzynastego”, 2005
- *Z wiatrem... i pod wiatr*, Warszawa, Agencja Wydawnicza Agar, 2007
- *Na łasce X Muzy*, Łódź, Wydawnictwo Literatura, 2011
- *Człowiek z epoki więzień*, Warszawa, Narodowe Centrum Kultury, 2013

Wiersze dla dzieci:

- *ABECADŁO w morze wpadło*, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1987
- *Recepta na nudę*, Wrocław, Wydawnictwo Toporzeł, 1991

Tomiki poetyckie:

- *Podziemne ptaki*, Łódź, Regionalna Izba Gospodarcza, 2008
- *Na progu nadziei...*, Wrocław, GS Media, 2011

Współautor zbioru reportaży:

- Łódź: *Śladami ludzi i zdarzeń. Reportaże z lat 1960-2010*, red. Z. Szczepaniak, Łódź, Wydawnictwo Literatura, 2013

Autor wstępu do albumu:

- *Józef Wasiołek: malarstwo*, red. Tomasz Osypowicz, Łódź, Wydawnictwo OMI / ART, [ca 2011]

Publikacje fragmentaryczne i osobne:

- Opowiadanie pt. *Schody życia* (z książki „Dziewczyna z Trogiru”) znalazło się w zbiorze tekstów o Łodzi pt. *Magiczne miejsca* (Łódź, „Piątek Trzynastego”, 1998) oraz w „*Gazecie Łódzkiej*” z dnia 4.III.1998 r.

- Fragment z książki *Przygodzie na imię „Pogoria”* wykorzystano w podręczniku do nauki języka polskiego dla klas VI (*Ku dalekim portom. Język polski VI. Podręcznik do kształcenia literackiego i kulturalnego*, J. Dietrich, A. Zacharska, Warszawa, Wydawnictwo „Oświata”, 1996)
- Miesięcznik „*Tygiel Kultury*” (2001, nr 7-9) zamieścił kilka wierszy z przygotowywanego do druku zbioru *Ballady i niuansy*

Ponadto pojedyncze wiersze opublikowano:

- na łamach: „*Kalejdoskopu*” (1994, nr 9), „*Głosu Porannego*” (10-11.XI.90 r.) i „*Dziennika Łódzkiego*” (13.XII.1991 i 13.XII.2001r.)
- w wychodzącej w Toronto „*Gazecie*” (17.I.2007 r.) – dzienniku kanadyjskiej Polonii

Niektóre wiersze i piosenki znalazły się również w Internecie oraz w następujących publikacjach książkowych:

- *Internowani z regionu łódzkiego: materiały z sesji popularno-naukowej, Łowicz 15-16 grudnia 2001 roku*, red. M.Papis, Łódź–Łowicz, Komitet Organizacyjny Rocznicowego Spotkania Internowanych Okręgu Łódzkiego, 2001
- *Golicka-Jabłońska M., Ojciec Stefan SJ*, Łódź, Fundacja Anima, 2006 (Biblioteka „Tygla Kultury”; t. 29)
- *Płyń sobie rzeka. Wiersze dzieci i dla dzieci*, Łódź, Wydawnictwo Literatura, 2005 (7 tomik serii poetyckiej *Radia Łódź*)
- *Moje ABC. Klasa III. Wypisy*, Warszawa, Pracownia Pedagogiczna i Wydawnicza, 2006
- *Morze i żagle w poezji polskiej: antologia*, oprac. Jacek Czajewski, Gdynia, Oficyna Wydawnicza „Miniatura”, 2010

NAGRODY i WYRÓŻNIENIA

- I nagroda w XXXII Turnieju Jednego Wiersza w Łodzi w roku 2001 za wiersz pt. „Śnie, który uczysz umierać człowieka...” (umieszczonym później w zbiorze „Na progu nadziei”).

- I miejsce za wiersz pt. „Kolęda „promocyjna” w konkursie pt. „Kolędy łódzkie”, ogłoszonym przez „Gazetę Łódzką” („GW” 24.XII. 2003 r.).

- Wyróżnienie za opowiadanie pt. „Historia pewnego „klucza” uzyskane w r. 2008 w Łódzkim Konkursie Literackim im. Wł. Reymonta.

- I i II nagroda w ogólnopolskim konkursie poetyckim ogłoszonym w roku 2010 przez łódzką Grupę Poetycką „Centauro” — za wiersze: „Akropol” i „List do Juliusza S.” (weszły w skład przygotowywanego tomu poetyckiego „Z dymu i ognia”).



PRACA DLA FILMU i NA PLANIE FILMOWYM



(fot. 1)

Wieloletnia (1972-2010) współpraca z Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi. Autor dziesiątków komentarzy (a w wielu wypadkach także ich lektor) do filmów dokumentalnych (przyrodniczych, oświatowych itp.) produkcji WFO.



(fot. 4)

EPIZODY AKTORSKIE W FILMACH:

„PRZYŁBICE I KAPTURY” – reż. Marek Piestrak. 1984 r.; rola: „Rycerz”

„IDOL” – reż. Feliks Falk. 1984 r.; rola: „Nurzyński”

„MAŁY DEKALOG” – reż. J. J. Kolski. 1984 r.; rola „Chrystus”

„POCZĄTKI POLSKI” – reż. J. J. Kolski. 1986 r.; narrator filmu i wykonawca wielu ról epizodycznych (fot. 1)

„POWRÓT MATEUSZA” (tyt. roboczy) – reż. J. J. Kolski. 1990 r.; rola „Ksiądz”

„RODY FABRYKANCKIE” – reż. L. Skrzydło. 1995 r.; narrator wieloodcinkowego serialu i postać w niektórych epizodach (fot. 2)

„WEHIKUŁ CZASU” – 75 odcinkowy seryjny program filmowy (edukacyjno-historyczny) – reż. M. Haremski. Lata 1995-1998 ; autor założeń programowych serialu, tekstu piosenki początkowej i finałowej do każdego odcinka oraz kilku scenariuszy; wykonawca roli „Gigabajta” (fot. 4) oraz szeregu ról kostiumowych związanych z poszczególnymi odcinkami.

„NEKROPOLIS – ŁÓDZKIE TRÓJPRZYMIERZE CIENI” – reż. A. B. Czulda. 2008/2009 r.; narrator i autor komentarza do filmu (fot. 3)

Współpraca przy produkcji filmów dokumentalnych: „BAJKI Z KRAINY PIERŚCÓW” (tyt. filmu pochodzi z reportażu Z. S. opublikowanego 17.VII.1998 r. w „Dzienniku Łódzkim”) oraz „CMENTARZ ORLAŃ” i „STEFAN POGONOWSKI”. Reż. A. B. Czulda. 2002 r.

Współpraca (jako lektor) przy produkcji filmu pt. „PERSKIE OCALENIE” (o losach polskich dzieci, które wraz z armią gen. Andersa wydostały się z łagrów i miejsc zesłania na „niehumanitarną” czyli sowiecką ziemię. Reż. A. B. Czulda. 2013 r. Premiera: 16.4.2013 w łódzkim Muzeum Kinematografii.



(fot. 2)



(fot. 3)

PIOTR WESOŁOWSKI: Nie wiem, jak pana przedstawić. Dziennikarz to za mało, poeta - także za mało, podróżnik, pisarz, aktor, autor słów piosenek, scenarzysta, marynarz. I kto jeszcze?

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK: - Po prostu łódzianin, dziennikarz, człowiek, który lubi życie.

Zacznijmy od schodów...

- Mam takie miejsce, które wspominam ze ściśniętym gardłem. Dzięki nim żyję. Urodziłem się na Wschodniej, tam spędziłem dzieciństwo i młodość. To było tuż po wojnie, mieszkaliśmy tylko z mamą, ojciec jeszcze nie wrócił z niewoli niemieckiej. Mieszkaliśmy na poddaszu. Chociaż byłem mały, po schodach biegałem bardzo szybko i z wielkim łomotem. Pewnego razu kiedy wychodziłem na podwórko, mama nie usłyszała tego łomotu. Przeczucie powiedziało jej, że coś jest nie tak. Wyszła na korytarz. Jedna z izb była otwarta. Mieszkała w niej starsza kobieta, znękana życiem, która straciła syna w powstaniu warszawskim. Mama zobaczyła szeroko otwarte okno, a w nim małego chłopca stojącego na parapecie, a przy tym dziecku kobietę.

Tym dzieckiem był pan?

- Lada chwila miałem być wypchnięty na dół. Kobieta odwróciła się, spojrzała na mamę i... nie popchnęła mnie.

A chciała?

- Tak. Zestawiła mnie na podłogę, pogłaskała po głowie, i powiedziała, że bym przyprowadził inne dzieci, które ona złoży w ofierze Panu Bogu. Po prostu oszalała z nieszczęścia. Mama wzięła mnie na ręce i pobiegła z krzykiem, ten krzyk pamiętam "żeby nie te schody...". Nie chciała mnie już puścić na podwórko. Pół godziny później ta straszna kobieta sama wyskoczyła przez okno.

Odwiedza pan jeszcze tę kamienicę?

- Chodzę, choć mniej biegam. Dwadzieścia pięć lat biegałem po schodach, a mama nigdy już nie zwracała uwagi, że robię to za głośno. Wyprowadziliśmy się potem na Teofilów. Kiedy urodziła się



„POWRÓT MATEUSZA” (tyt. roboczy) – reż. J. J. Kolski. 1990 r.; rola „Ksiądz”

Człowiek, który lubi życie

ze **Zdzisławem Szczepaniakiem** rozmawiał **Piotr Wesołowski**

córką, a potem syn, byłem z nimi na ulicy Wschodniej.

Ulica, przy której się pan wychował, też jest wyjątkowa.

- Pamiętam jeszcze bruk, pamiętam wielkie wozy z piwem, dorożki, których się namiętnie czepiałem.

Jak się bawiły dzieci przy Wschodniej?

- Głównie graliśmy w piłkę na podwórkach, a kiedy rodzice nie widzieli, czepialiśmy się dorożek. Dorożkarz smagał batem do tyłu. Ten, kto wytrzymał najdłużej, najdalej zajechał, wygrywał. Kiedyś dojechałem do Południowej, czyli do dzisiejszej Rewolucji 1905 r.

Jaki był klimat tych ulic?

- To dobrze powiedziane: klimat. Nie można powiedzieć, że te ulice są ładne, ale Wschodnia ma charakter, tak jak mają go Bałuty czy Chojny. Tam wszyscy się znali, nikt mnie nigdy nie zaczepił. Nawet wśród tzw. żuli był rodzaj ho-

norowego zachowania. To się zmieniło. Ja tę ulicę lubię, bo trudno nie lubić miejsca, gdzie się żyło. Kocham ją za charakter i za to, co tam przeżyłem.

W blokach z betonu na Teofilowie mieszka się już inaczej niż przy Wschodniej?

- Oczywiście. Ja też już byłem inny. Wówczas pracowałem jako dziennikarz w "Dzienniku Łódzkim" i studiowałem na polonistycie.

Ja wyglądała pana kariera w łódzkiej prasie?

- To coś, o czym mówię z radością i satysfakcją. Dziennikarzem jestem już 35 lat, a w "Dzienniku" spędziłem ponad dwadzieścia, od 1962 r. do 13 grudnia roku pamiętnego. Tam się nauczyłem wszystkiego, co trzeba wiedzieć w tym zawodzie. Spotkałem bardzo wielu fajnych ludzi. Moim mistrzem był nestor łódzkich dziennikarzy, nieżyjący już Mieczysław Jagoszewski. Pracowałem w ciężkich czasach. Panowała cenzura...



Reporter – marynarz na mostku
m/s „Oleśnica”

Czy cenzora można było oszukać?

- Najgorsza była autocenzura, rodząca się w człowieku z obawy, że coś nie pójdzie. Ja takie materiały pisałem, mimo że szły do szuflady. Druga to cenzura wewnętrzna redakcyjna, cenzura redaktora naczelnego. Dopiero na końcu zabierała głos ta oficjalna. Kiedyś napisałem recenzję filmu „O jeden most za daleko”, gdzie Gene Hackman grał generała Sosabowskiego. Napisałem też kilka słów o generale, wspinałemu żołnierzowi i patriotcie. Stwierdziłem, że jest mi żal, że do tej pory nie pisano o generale Sosabowskim, że nie mogłem go znaleźć w encyklopediach. Cenzura zatrzymała ten materiał. Na próby interwencji odpowiedziano, że skoro nie ma w encyklopedii, to widocznie tak jest dobrze, i w gazecie może tego nie być.

Czy kiedy idzie pan ulicami Łodzi, dzieci krzyczą za panem „Profesor Gigabajt”?

- Może nie aż tak, ale czasem się zdarza. Historia programu „Wehikuł czasu” jest historią sukcesu wielu łódzian. Okazało się, że jak się chce, to można się przebić do drugiego programu ogólnopolskiej telewizji. Zaczęło się od pomysłu Leszka Skrzydły, łódzkiego reżysera. Potem łódzka WFO zwróciła się do mnie, żeby rozwinąć pomysł serialu edukacyjno-historycznego dla dzieci. Wówczas wymyśliłem Profesora Gigabajta, który

z grupką dzieci przenosi się w czasie.

Miał pan jakieś aktorskie przygotowanie?

- W latach 1984-1989 poznałem Jana Jakuba Kolskiego i otrzymałem propozycję zagrania w jego paradokumentalnych filmach „Świt słowiańskiego jutra” i „Mały dekalog”. Tam uczyłem się pracy na planie. To mi się teraz przydało w „Wehikule”.

Jak dzieci справiają się na planie?

- Wspaniale. Uczę się od nich cały czas pogody ducha, poczucia humoru.

Dużo płacą w telewizji?

- Niewiele. Niektórym się wydaje, że to są wielkie pieniądze. Jestem zadowolony, że mam tę pracę, a ponieważ nie jestem zatrudniony na etacie, pozwala mi to gromadzić środki na życie. Dostaję 800 zł brutto za odcinek. Chciałbym więcej, ale jestem zadowolony, jest w tym więcej frajdy zawodowej i osobistej.

W pierwszym programie TVP i w TV Polonia opowiada pan o łódzkich rodach fabrykanckich. Kiedy znajduje pan czas na to wszystko: kręcenie programów, pisanie i podróżowanie po świecie?

- Życie może być krótkie, ale powinno być ciekawe. Dziennikarstwo wymaga poszukiwania różnego zajęcia.

Wśród łódzkich dziennikarzy jest pan największym specjalistą od pływania

na statkach mniejszych i większych. Skąd ta pasja?

- Kiedyś myślałem nawet o szkole morskiej, ale wyszło inaczej. Ja głównie żegluję. Zacząłem przed dwudziestu paru laty. Z tego żeglowania zebrało się ponad 40 tysięcy mil morskich.

Czy teraz dopada pana jeszcze choroba morską?

- To dotyczy każdego. Najwięksi kapitanowie oddają daninę Neptunowi. Ja jednak teraz już nie oddaję tej daniny. Wiem, że po prostu trzeba wejść na pokład, pracować i nie myśleć o tym.

Jak rodzina znosi pańskie kilkumiesięczne nieobecności?

- Znosiła, bo teraz jestem przycumowany do asfaltu i betonu. Muszę zarabiać na życie. Chciałbym napisać te wszystkie książki z rejsów, na których byłem. Nauczyłem się tęsknoty w pierwszym rejsie i dlatego jej nie lekceważę. Widziałem bardzo twardych marynarzy, którzy płakali mi w kłapy jak bobry.

Dlaczego pisał pan wiersze dla dzieci? Z miłości do nich czy żeby zarobić?

- Wszystko co robię, robię z potrzeby. Jeśli uda się przy tym zarobić na chleb, to bardzo dobrze.

Człowiek, który lubi życie / ze Zdzisławem Szczepaniakiem rozmawiał Piotr Wesółowski // Gazeta Łódzka. -1998, nr 143 (20-21.06), s. 7.



Na planie programu historycznego
„Wehikuł czasu”



PILOT MARZYCIEL

Czym będę? To jasne - pilotem.
Gdzie polecę? Tam... i z powrotem.
Do nieba, wysoko, nad chmury.
A potem do domu - przez dziury.
Dziury w chmurach, ma się rozumieć.
Tylko latać trzeba by umieć...
I samolot trzeba mieć duży,
Żeby nie bał się wiatru i burzy.
Żeby latał najwyżej! KONIECZNIE!
Żeby umiał lądować bezpiecznie.
Żebym ja w nim wygodnie siedział
I wszyściutko co trzeba wiedział
O lataniu, o śmigle, silniku,
Czy steruje się tak jak w "dżojstiku".

Więc napiszę list do fabryki,
Że w nauce mam niezłe wyniki,
Że "... tak bardzo bym chciał, moi mili,
Byście dla mnie samolot zrobili..."

Ale może w fabryce już wiedzą
I od dawna się nad tym już biedzą,
Żeby zrobić samolot wspaniały,
Który ze mną przeleci świat cały.
Tak jak ten, który w chmurach gdzieś huczy
I już wkrótce mnie latać nauczy...

(Wiersz ze zbioru *Recepta na nudę*, opublikowany również w *wypisach dla klasy III Moje ABC*, Warszawa, Prac. Pedagog. i Wydaw., 2006.)

Wiersze z książek dla dzieci i młodzieży

MORSKIE ABC

Każdy, kto zna abecadło,
Wie, że kiedyś z pieca spadło.
Strasznie przy tym się potłukło,
Połamało, pokrzywiło...
Swoją kropkę „i” zgubiło,
A wśród liter pozostałych
Także mało było całych.
Ten wypadek stał się znany,
W wierszu został opisany
I do dzisiaj się zaleca
Znać upadek liter z pieca.

Mówili mi o tym w szkole...
Lecz ja jednak ciągle wolę
Abecadło całkiem inne –
Dzielne, bystre, silne, zwinne...
Jeśli ktoś z was wiedzieć chce
Jest to MORSKIE ABC !

Kto naczytał się podróży,
Kto odróżnia szkwał od burzy,
Kto nie sądzi, że fregata
To ogromna jest armata,
Kto nie twierdzi, że kuk – kuka,
Komu miła jest nauka
O sekretach nawigacji –
Ten mi przyzna wiele racji.
Temu książkę swą przekażę,
Kto chce zostać marynarzem.

Coś takiego?! Więc aż tylu
Chce odróżniać dziób od kilu?
Ależ nam urośnie flota
Jeśli taka w was ochota,
By na gniazdo wejść bocianie
I zawołać: „kapitanie!
Już do lądu dopływamy!
Widać rafy! Droga trudna...
Jakaś wyspa to bezludna!
Na tej wyspie siedzi... pies!
I wciąż szczeka SOS!!”

A dlaczego pies ten szczeka?
No bo wie, że czas ucieka.
My tu sobie gadu, gadu –
Od śniadania do obiadu –
Słonko – hen – na nieboskłonie,
A tam – ABECADŁO TONIE!
Tonie – skoro w morze wpadło.
Pewnie strachu się najadło,
Słonej wody natykało...
Pewnie coś mu się już stało?
Może ginie już wśród fal?
Guzik! Dzielnie płynie w dal!

Wszystkie żagle postawiło,
Płynie tam, gdzie nas nie było,
Płynie tam, gdzie płynąć chce,
Bo to MORSKIE ABC...

(Wiersz z tomiku *ABECADŁO w morze* w rze wpadło. Kilka wierszy z tego zbioru opublikowano w antologii *Morze i żagle w poezji polskiej*, opr. Jacek Czajewski, Gdynia, Oficyna Wydawnicza Miniatra, 2010.)



Dziennikarstwo, czyli Zdzisława Szczepaniaka sposób na życie...

ze Zdzisławem Szczepaniakiem rozmawiała Danuta Gruszczyńska
[fragmenty]

DANUTA GRUSZCZYŃSKA - Kiedy przygotowywałam się do tej rozmowy i zbierałam materiały wiedziałam, że jest pan dziennikarzem z bardzo długim stażem zawodowym - m.in. wieloletnim kierownikiem działu kulturalnego „Dziennika Łódzkiego”, a także byłym redaktorem naczelnym tej najstarszej łódzkiej gazety. [...] jest pan nie tylko reporterem, felietonistą i publicystą, ale także pisarzem, poetą, autorem komentarzy do filmów dokumentalnych i przyrodniczych, scenariuszy filmowych i tekstów piosenek. Prowadził pan także autorską audycję radiową, pracuje pan na planie filmowym jako aktor, no i ma pan podobno na koncie wiele podróży i wiele tysięcy mil morskich przebytych pod żaglami. Czy o czymś zapomniałam?

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK - Ależ skąd. Wyśmienicie przygotowała się pani do wzięcia mnie na „spytki”. Tylko z tym poetą i pisarzem nieco pani przesadziła.

Wiersze piszę w większości „do szuflady”, a pierwszy gotowy już tomik przyjdzie mi pewnie wydać na własny koszt - o ile wygram w totolotka, któremu to nałogowi oddają się od lat, bez większych, niestety, efektów. Z kolei dwie książki dla dorosłych i dwie dla dzieci - to za mały dorobek, aby mówić o pisarstwie.

- Ale niedawno mówił pan o planach napisania jeszcze paru książek a co do poezji to znam kilka pańskich wierszy i chętnie do nich wrócę w tej rozmowie. Na razie chciałabym jednak, aby pomógł mi pan i sam określił, kim pan jest właściwie? Bo z tylu zajęć i profesji, jakaś wybija się niewątpliwie na pierwszy plan?

- Skoro mam wybierać, to wybiorę to, co wybrałbym także gdyby dane mi było urodzić się po raz drugi - dziennikarstwo. [...]

- Kilka miesięcy temu podczas gościnnego wykładu w Studium Dziennikarskim, powiedział pan, że dziennikarstwo to dla pana nie tyle zawód, co raczej „sposób na życie”. Co pan przez to rozumie i jak pan ocenia ten swój wybór z perspektywy ilu to już dziennikarskich lat?

- Dokładnie trzydziestu siedmiu. A ów wybór uważam za najlepszy z możliwych. Bo chyba nigdzie indziej niż w dziennikarstwie nie ma tylu okazji do poznawania blasków i cieni otaczającego nas świata, oglądania „życia na gorąco”, w najróżniejszych jego przejawach, dawania świadectwa jego różnorodności... Do obserwowania i prezentowania sukcesów lub klęsk naszych bliźnich, towarzyszenia im w rozpaczach lub w nadziei, do budowania na tych fundamentach swojej wrażliwości, spostrzegawczości, tolerancji, obiektywizmu... Tym wszystkim i paroma tuzinami innych rzeczy, może być dziennikarstwo podbudowane autentyczną ciekawością świata i ludzi. Przy czym nie zawsze potrzeba do tego etatu, biurka czy legitymacji, którą ten i ów „wielki pan redaktor” z lubością wymachuje przed oczyma „maluczkich”. Moimi zawodowymi idolami są „zresztą ludzie, którzy przez większość życia i z niezwykle dobrym skutkiem pracowali jako dziennikarscy „wolni strzelcy”. Jeden z tych wielkich reporterów, czyli Jack London, napisał kiedyś z rozbijającą szczerością: „Mogłem doskonale zarabiać jako dziennikarz, ale miałem dość rozumu, żeby odrzucić to niewolnicze służenie redakcyjnej maszynie.”

- Pan także doszedł chyba do podob-



Antarktyczne wyspy to cmentarzysko wielorybów

ných wniosków. Nagle złożył pan przecież rezygnację ze stanowiska redaktora naczelnego „DŁ” i przestał pracować etatowo...

- To prawda. I nie żałuję tej decyzji, podjętej wszakże nie z niechęci do owej redakcyjnej maszyny, ile z przekonania, że nie nadaje się do funkcjonowania w jej trybach jako bezwolne kółko, „miotła” etc...

- Przed chwilą mówił pan jednak o dziennikarstwie z taką pasją, że zdarzyć się mogło, iż marzył pan o tym wspaniałym zawodzie - przepraszam: „sposobie na życie” - już od dziecka.

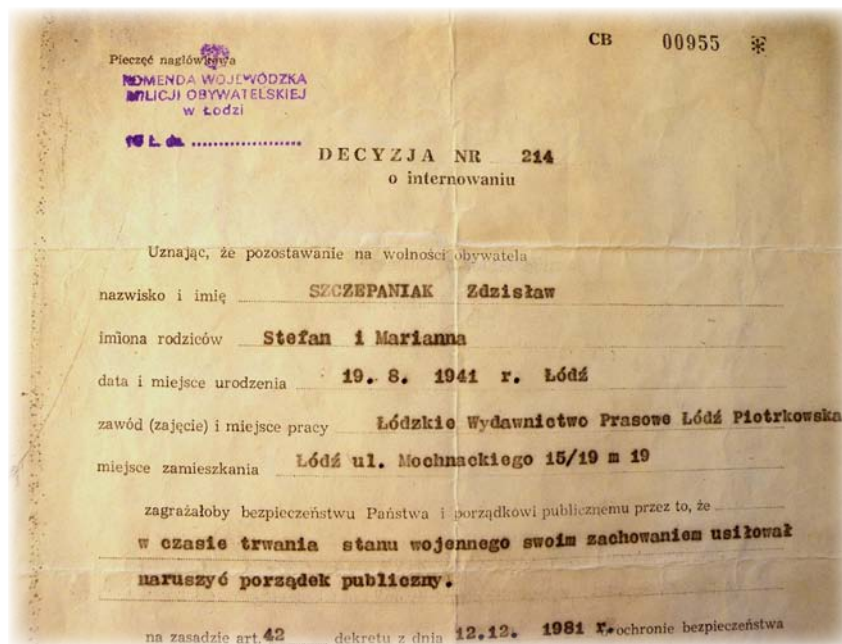
- Przesada, droga pani. Od dziecka to ja marzyłem, żeby zostać marynarzem. Odkąd opanowałem sztukę czytania i zacząłem połykać książki Verne’a, Londona, Stevensona, a z czasem i Conrada, nie myślałem o niczym innym tylko o tym, by ku rozpacz mojej rodzicielki - wyruszyć w świat, na morza i oceany.

- No i udało się! Bo przecież skądś się wzięły te tysiące mil morskich w pańskim życiorysie?

- Uparty byłem. Tyle, że szedłem ku morzu dosyć długą i krętą drogą. Najpierw, czyli po podstawówce, odpadłem w przedbiegach do szkoły morskiej. A stało się to nie dlatego, że nie umiałem odróżnić dziobu od rufy, ale z powodu zbyt niskiego w porównaniu z wymaganym w owej szkole limitem - wzrostu. Rodzicielka się wówczas cieszyła, a ja łkałem jak bóbr.

Z tej rozpacz poszedłem się uczyć różnych trudnych i skomplikowanych przedmiotów w Technikum Budowy Maszyn w Łodzi, a potem - dla odprężenia - rozpocząłem studia na historii, aby porzucić ją po roku dla polonistyki. Tę udało mi się szczęśliwie ukończyć. Ale marzeń o morzu nie porzuciłem nigdy i...

- Zaraz, chwileczkę. Nad morze jeszcze wrócimy, ale teraz nie chcę, aby zginęło nam z oczu pańskie dziennikarstwo. Jak się ono zaczęło? Podobno najmocniej czuje się pan związany z „Dziennikiem Łódzkim” - i było tak nawet wtedy, kiedy nie pracował pan etatowo?



W czasie stanu wojennego... „usiłowałem naruszyć”

- To prawda. Odchodząc przed kilku laty ze stanowiska redaktora naczelnego „DŁ” nie zrywałem przecież wszystkich więzi z moją - co tu ukrywać - najważniejszą w życiu gazetą, a jedynie pewnych wymagań i zależności, z którymi nie umiałem i nie mogłem się pogodzić. W ciągu mojej 37-letniej pracy dziennikarskiej zdarzyło mi się już wcześniej pozostawać za burtą „Dziennika”, ale mimo to - poczynawszy od lipca 1962 roku, kiedy to, jako szukający pracy student II roku polonistyki, przekroczyłem po raz pierwszy próg redakcji, aż do dzisiaj, kiedy po czterech latach przerwy znów wróciłem do publikowania na jej łamach - zawsze czułem się dziennikarzem tej najbardziej łódzkiej gazety. [...]

- Większość swoich dziennikarskich lat przepracował pan pod „opieką cenzury”, w warunkach, które z pewnością nie sprzyjały wykonywaniu tego zawodu zgodnie z dziennikarskimi ambicjami, a przede wszystkim społecznymi potrzebami i oczekiwaniami.

- To prawda. Czasami nie wystarczały metody i sposoby pośrednie, stosowane w myśl zasady: „jak nie możesz napisać węgla - to pisz: ten czarny kamień, co się pali w piecu” Dziś, kiedy zmieniło się w Polsce tak wiele - choć może za mało - można mówić o tamtych latach różnie: Z żalem, że również my - dziennikarze

- nie byliśmy tak wolni, jak byśmy chcieli. Ze smutkiem, bo mieli rację ci, którzy krzykali: PRASA KŁAMIE! Z pewną satysfakcją, bo przecież udawało się nie raz pisać to i owo między wierszami i od czasu do czasu omijać zakazy i zasięki cenzury... Kiedy wspominam tamte lata, nie wstydzę się ich, nie uważam za zmarnowane, ale też nigdy nie zapomnę, co znaczyło być dziennikarzem w roku 1968, 70, 76, 81... Z myślą o tamtych latach wiele można by pisać o dziennikarskich wzlotach i upadkach, mądrości i głupocie, odwadze i tchórzostwie, a także o rozterkach sumienia, wątpliwności i marazmie. Nie zapominając więc o niczym, nie usprawiedliwiając się i nie lekceważąc niczego złego z tamtych lat, chciałbym tylko, aby nowe dziennikarskie pokolenie umiało lepiej niż niegdyś my stawić czoła różnym pułapkom, jakie również na nich spróbuje zastawić czas, w którym żyjemy. [...]

- Czy miał pan swojego mistrza?

- Tak, ten mistrz to „Jagosz”, czyli nieżyjący już od wielu lat redaktor Mieczysław Jagoszewski - król łódzkich recenzentów teatralnych, człowiek wielkiej zacności, wiedzy, kultury i gołębiego serca. Redaktor władający łaciną i greką. Obrońca Lwowa przed bolszewikami. Więzień Oświęcimia. Poeta, pisarz, erudyta, kpiarz i kawalarz. Znaczący do-

brych win, dobrych potraw i pięknych kobiet, a przy tym zaprzysiężony „stary kawaler”... Przyjaciel hrabiów, baronów, wolnomyślicieli i włóczęgów, a przede wszystkim aktorów i malarzy, artystów wszelkiej maści. To „Jagosz” widząc mnie czasem zafrasowanego, dodawał mi otuchy i „stawiał mnie na nogi” mówiąc: „Przyjacielu, rozpaczć jest to zło dodawać do zła... Pojmujesz?” Na moje szczęście - pojmowałem. Pewnego dnia „Jagosz” wypadł na korytarz ze swojej klitki na III piętrze gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96, gdzie przez 40 lat mieściła się redakcja „DŁ” i dojrzawszy mnie zawołał z nadzieją w głosie: „Przyjacielu, czy zna pan może ciąg dalszy tego fragmentu Kordiana, który zaczyna się od słów: „Śpieszmy nowe tworzyć brzemie...”? Bo ja - wstyd powiedzieć - zapomniałem, a potrzebuję tego cytatu na gwałt, to jest chciałem powiedzieć do recenzji...” Nie będę tał, że bardzo chciałem wówczas błysnąć przed Mistrzem polonistyczną wiedzą i dobrą pamięcią, ale... czy zawsze chceć to móc? Widząc moje strapienie „Jagosz” machnął ręką i zawołał: „Nic to, przyjacielu - skocz do księgarni, kupię Kordiana i po kłopotcie! I tak jak stał, z krawatem zawiązanym na lewą stronę, w koszuli i bez trzech guzików, „Jagosz” pognął w miasto. Wrócił po kilku godzinach w stanie wskazującym na krańcowe wyczerpanie i rozpacz. Co się stało? - zapytałem z obawą, że znów - jak to zwykle czynią ludzie wielcy i z natury roztargnieni - mój Mistrz posiał gdzieś maszynopis, teczkę lub portfel. - „Nie ma” - wyszeptał ze smutkiem „Jagosz”. „Przeszedłem całą Piotrkowską, pytałem we wszystkich księgarniach i nigdzie nie było Słowackiego! Uwierzy pan? Putramenta wszędzie pełno, a Słowackiego nie ma! Co za czasy... Co za czasy...” Minęło parę lat i zobaczyłem jeszcze nie tylko rozpacz, ale i łzy „Jagosa”. Było to 13 grudnia roku pamiętnego, kiedy to wylali mnie z „Dziennika” - w doborowym towarzystwie zresztą. „Jagosz” objął mnie wówczas serdecznie na pożegnanie i płakał tak, jak tylko potrafi płakać człowiek stary i bezgranicznie nieszczęśliwy. A ja, który go kochałem bardzo, pocieszałem go z trudem jego własnym porze-

kadłem o bezsensie wszelkiej rozpacz. W kilka lat później redaktor Jagoszewski umarł, a wraz z nim umarła i odeszła na zawsze szczególna dobroć, której poza nim już nikt wśród łódzkich dziennikarzy unieść i wskrziesić nie potrafi.

- Podczas tej opowieści wspomniał pan tylko mimochodem o stanie wojennym. A przecież z pewnością był to ważny okres zarówno w pańskim osobistym, jak i zawodowym życiu?

- Nie przeczę, chociaż 13 grudnia 1981 roku zaskoczył mnie, jak większość Polaków, nieprzygotowanego na to, co się stało i niezbyt zdolnego do wyobrażenia sobie, co się może dziać dalej. Tymczasem za nas, dziennikarzy łódzkich, pomyśleli wcześniej odpowiedni decyden-ci i wraz z wieloma koleżankami i kolegami już w pierwszych dniach stanu wojennego straciłem możliwość wykonywania mojego ulubionego zawodu. W zdecydowanej większości uważaliśmy jednak, że fakt utraty pracy w redakcjach nie zdejmuję z nas dziennikarskich obowiązków. Staraliśmy się więc być uważnymi obserwatorami i kronikarzami tego jakże trudnego dla społeczeństwa czasu. Być wszędzie tam, gdzie być należało. Widzieć to wszystko, co należało zapamiętać i opisać. A był to czas największych represji, aresztowań, pobic i nagłych zniknięć. Czas ulicznych protestów, zwolnień z pracy, różnych „weryfikacji”, czas rodzenia się podziemnej prasy i innych wydawnictw, które później Tadeusz Konwicki nazwał tak pięknie „podziemnymi ptakami”.

O tym, jak bardzo ta i jej podobna, częściami jawna, dziennikarska działalność

była „solą w oku” stróżów nowego, „wojennego ładu” przekonałem się na początku maja 1982 roku...

- Co się wtedy stało?

- Dzień był piękny, sobotni. Po obiedzie planowałem wybrać się wraz z żoną i 5-letnim wówczas synem na spacer do parku, gdy nagle przerwał nam tę przygotowania ostry dzwonek do drzwi. Otworzyłem i... nie zdążyłem przeszkodzić wepchnięciu się za próg trzech nieznanym osobników. Bez większych wstępów oświadczyli krótko, że przyszli po mnie, jako „grupa internowania”, szybko spenetrowali mieszkanie i jeden z nich warknął: „idziemy”. Ta buta i bezczelność sprawiły, że... „Nie dam się - pomyślałem. - Nie wezmą mnie bez oporu. Przyłożę chociaż jednemu, a potem...” Tę moją desperację musiało być widać aż nadto, bo jeden z „gości” wyjął pojemnik z gazem, podtykając mi go pod nos, a drugi postanowił uświadomić mi moje szanse mówiąc: „Tylko spokojnie, nas jest trzech.” Nie musiał tego mówić bo, bardziej od tej przewagi paraliżował mnie widok płaczącego się pod nogami synka. - „On nie może zobaczyć, jak jacyś sk... biją jego ojca. Nie może!” - usprawiedliwiałem się przed sobą za konieczny w tej sytuacji rozsądek.[...] Gdy zrobiłem pierwszy krok za próg usłyszałem, jak za moimi plecami syn zapytał matki: - „Mamusi... czy jak będę duży to po mnie też przyjdą tacy ważni panowie, jak po tatusia?” I to było najgorsze. Przy tym nie liczyły się szykany i kopniaki w komendzie na Lutomierskiej, a później dojmująca tęsknota w więzieniu, w pięknym mieście Łowiczu. Tamte dziecięce słowa zostały już bowiem za mną na zawsze, jak pamięć o stanie wojennym. I bywa, że jeszcze dzisiaj przejmują mnie grozą...

[...] Jak to się stało, że tyle razy wyruszał pan z Łodzi na morze?

- Bo jedynie to miasto ma łódkę w herbie, a mówiąc serio dlatego, że mimo przymusowej stabilizacji na łądzie, wśród betonu i asfaltu, nie rezygnowałem z dawnych marzeń. Kiedy nadarzyła mi się okazja do zaokrętowania na po-



Z moim zawodowym „mistrzem”
— red. Mieczysławem Jagoszewskim

kład frachtowca Polskich Linii Oceanicznych, urwałem się z redakcji, aby popłynąć w swój pierwszy rejs. Różnymi doświadczeniom i przygodom przeżyтым podczas tej podróży do Afryki Wschodniej poświęciłem później wiele reportaży oraz książkę pt.: "Bigos tropików". Było bowiem o czym pisać. Przełynęliśmy ponad 24 tys. mil morskich, czterokrotnie przekroczyliśmy równik, braliśmy na pokład fale trzech mórz i dwóch oceanów. To wtedy przeszedłem swój morski, a przy okazji także i równikowy chrzest, poznałem blaski i cienie marynarskiego życia, a także zaułki Hamburga, Las Palmas, Mombasy, Port Sudanu i miasta królowej Saby - Adenu.

- Po tym pierwszym rejsie nabrał pan ochoty na dalsze wędrówki tego typu?

- Oczywiście, tyle że niekoniecznie „tego typu”. W ciągu wielu miesięcy pobytu na oddalonym wysoko od morza pokładzie „Oleśnicy”, odpukując młotkiem rdzę, jako marynarz pokładowy czyli „dzięcioł”, słuchając wołania oceanu zagłuszanego nieustannym hałasem potężnego silnika postanowiłem, że muszę wrócić na morze, ale koniecznie w czymś cichszym i bliższym wiatrowi niż ta pocziwa, stalowa brytfanna. Mimo, że znowu kotwiczylem na asfalcie, a beton bloków szczelnie zasłaniał mi horyzont, uparcie wierzyłem, że doczekam się kiedyś pierwszej „psiej wachty” pod żaglami, stanę za prawdziwym kołem sterowym i poczuję na wargach smak owej „goryczy oceanu”, o której czytałem niegdyś u Conrada. Marzyłem, aby małą łódką

przełynąć Atlantyk Kolumbowym szlakiem, zajrzeć w twarz wielkiej tajemnicy w Trójkącie Bermudzkim, posłuchać wycia wихru w „ryczących czterdziestkach”. Chciałem też posmakować życia na opiewanym w piosenkach „Zawiszy Czarnym”, otrzeć się chociażby o Przyłdek Horn, związać żagle wysoko na rejach i wypatrywać przed dziobem mojego żaglowca gór lodowych u brzegu Białego Kontynentu - Antarktydy. Od tych marzeń zaczęła się moja wielka, morska przygoda, na którą złożyło się zdobycie żeglarskiej praktyki i patentu jachtowego sternika morskiego oraz blisko 40 tysięcy mil morskich przebytych pod żaglami w rejsach bliskich i dalekich. [...]

- Wszystko, o czym pan marzył, spełniło się więc i udało?

- To prawda. Czasami, kiedy myślę o tym, zdaję sobie sprawę, jak wiele szczęścia miałem w mojej wędrówce na morze i pod żagle. [...]

- Czym dla pana jest poezja?

- Poezja jako taka?

- Nie, pańska poezja. Jakie ma znaczenie w pańskim życiu i twórczości?

- Poezja ma dla mnie znaczenie naprawdę intymne. Wydaje mi się nieśkromnie, że moje wiersze są odbiciem jakiegoś mojego lepszego „ja”, czegoś bardzo odświeżonego, a jednocześnie nieśmiałego, które na co dzień siedzi gdzieś głęboko ukryte i wydobywa się na powierzchnię bardzo rzadko, pod naporem Bóg wie czego, w najbardziej nieoczekiwanych momentach i z niemożliwych do sklasyfikowania powodów. Niektórzy poeci używają w takich sytuacjach słowa-klucza, znanego jako „natchnienie”. Ja rejestruję takie stany po staroświecku - piórem, a gdy uda mi się je jako tako pojąć, to po głębszym namyśle wprowadzam ów zapis do komputera, który jak dotąd nie zawiesił się, czyli nie protestuje.[...]

Dziennikarstwo, czyli Zdzisława Szczepaniaka sposób na życie... / ze Zdzisławem Szczepaniakiem rozmawiała Danuta Gruszczyńska // [dostęp] http://www.tygielkultury.eu/10_12_2001/aktual/19ram.htm



Wiersze ze zbioru

NA PROGU NADZIEI...

Wrocław, GS Media, 2011.

NADZIEJA

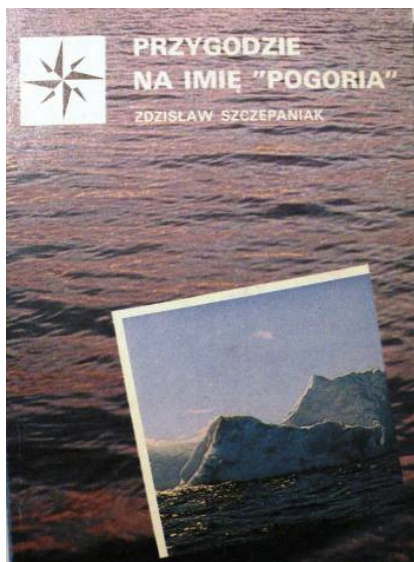
*do niedawna często zasypiałem ze strachem
bałem się że już się nie obudzę
i – co gorsza – w ogóle już mnie nie będzie*

*pewnego dnia
poczułem jednak coś niezwykłego*

*oto razem ze mną obudziła się nadzieja
nie wołałem o nią żadną modlitwą
(wstydziłem się)
a ona spadła mi jak z nieba
i odtąd nie odstępowała mi na krok*

*zaufałem jej od pierwszej chwili
nie wypytuję jej o szczegóły
czasami wydaje mi się trochę naiwna
ale co tam – grunt że ją mam*

*to dzięki niej przestałem bać się zasypiania
też mi coś – mruczę układając się wygodnie
najwyżej obudzę się
PO TAMTEJ STRONIE...*



W GORĄCZCE

*Kto dogoni niknące tętno
zaufa rozszerzonym żrenicom
zwilży spękane wargi kroplą nadziei*

*kto ostudzi zapiekły żal
zdmuchnie płomień gorzycy
podniesie z prochu zetłale przecucia*

*kto nie spłonie w gorączce
ugasi ognisko zwątpienia
o c a l e j e ..?*



JESTEM

*...więc jestem ziarnkiem piasku które nic nie znaczy
i jeśli umrę jutro to świat się nie zmienia
słońce wszędzie jak zawsze ktoś inny zobaczy
jak trawy się zielenią i jabłko rumieni*

*więc jestem tylko prochem i w proch się zamienię
by dać innemu życiu szansę nową – własną
myśli moje ostatnie znów staną się pierwsze
w kręgu wcieleń odwiecznych – rozbłyśną i zgasną*

*więc może także b y ł e m chociaż jeszcze j e s t e m
ta nadzieja wciąż we mnie ze strachem się kłóci
wierzę jednak że wygra a ja znowu b ę d ę
kiedy śmierć mnie na nowo do życia przywróci*

*więc kiedy już nadejdzie to na co nie czekam
to co i tak przyjąć musi – kiedyś – bez wątpienia
powitam to bez lęku jeśli zdołam dojrzeć
źródło wiecznego światła w mojej smudze cienia...*

Dziennikarz i obieżyświat

ze Zdzisławem Szczepaniakiem
rozmawiał Paweł Patora



Ostatnia wchłona na „Pogorii”

Paweł Patora: Dlaczego po 40 latach pracy dziennikarskiej uparłeś się, żeby odejść z redakcji?

Sławek Szczepaniak: Lata lecą, wzrok nie ten i w codziennym kieracie coraz trudniej mi nadążyć za „młodymi wilkami”...

Skąd się wzięło twoje zauroczenie „Dziennikiem”?

- Przecież właśnie tutaj „urodziłem się” jako dziennikarz. Wszystko zaczęło się w lipcu 1962 roku, kiedy jako student II roku polonistyki po raz pierwszy przekroczyłem próg redakcji i zostałem w niej aż do dziś – wyjąwszy przymusowe nieobecności spowodowane stanem wojennym i internowaniem. To właśnie w „Dzienniku” dowiedziałem się co to znaczy colonel, cicero, szpalta i podwał. To w tej gazecie, terminując prawie we wszystkich działach, uczyłem się życia i dziennikarstwa, pisania sprawozdań i reportaży, wyrażania na połowie kartki maszynopisu tego, co na początku zajmowało mi aż pięć stron.

Co było wtedy dla ciebie najtrudniejsze?

- Nie znosiłem sprawozdań z narad i konferencji, ale największego pietra miałem realizując zamówienie działu sportowego na wywiad z trenerem węgierskiej drużyny piłkarskiej, która zjechała swego czasu do Sieradza. Poza „kesenem” (dziękuję) nie znałem żadnego węgierskiego słowa. Trener oczywiście nie mówił po polsku, ale gawędzieliśmy miło, każdy w swoim ojczystym języku i przy użyciu rąk, a na zakończenie konwersacji ściskaliśmy się czule jak dwa bratanki.

I po takiej „rozmowie” ukazał się wywiad w gazecie?

- Wystarczy poszperać w rocznikach „Dziennika” z lat 60. Ale wracając do wspomnień, najważniejsze wydaje mi się to, że mogłem uczyć się zawodu właśnie w „Dzienniku”. Spotkałem tu wspaniałych ludzi - dziennikarzy, pracowników hali maszyn, korekty, redakcji nocej, zecerni.

Wiem, że jednym z twoich największych przyjaciół był Mieczysław Jagoszewski...

- Tak, to Mój Mistrz. „Jagosz”, król łódzkich recenzentów teatralnych, człowiek wielkiej zacności, wiedzy, kultury i gołębiego serca. To on zostawił mi po sobie dewizę, która od lat w potrzebie stawia mnie na nogi: „Przyjacielu, rozpaczać jest to zło dodawać do zła”.

Czym jest dla ciebie dziennikarstwo?

- Moim zdaniem to najlepszy sposób na ciekawe życie. Właśnie dlatego wybrałem ten fach i zostanę przy nim jak długo się da. Chyba nigdzie indziej, niż w dziennikarstwie nie ma tylu okazji do oglądania życia na gorąco, obserwowania sukcesów i klęsk naszych bliźnich, towarzyszenia im w rozpaczach lub nadziei. Dlatego jest to wspaniały zawód dla wszystkich, ciekawych świata i ludzi.

Ta ciekawość kierowała większością twoich zawodowych poczynąń i życiowych wyborów. Nazywasz siebie łodzianinem z urodzenia i obieżyświatem z zamiłowania. Po to, by reportaże były bardziej autentyczne, robiłeś rzeczy niezwykle...

- Skakałem ze spadochronem, nurkowałem w Morzu Czerwonym, nielegalnie wkroczyłem do Arabii Saudyjskiej, o mało nie postradałem życia w Adenie, wcielałem się w „dzięcioła”, czyli marynarza odpukującego rdzę na jednym ze statków PLO... A wszystko w myśl maksymy Stanisława Jerzego Leca: „sami dmijmy w nasze żagle!”. Inaczej mówiąc –

któ nie szuka, nie ryzykuje, nie mierzy sił na zamiary – ten ciągle będzie cumował do asfaltu i betonu, a potem narzekał, że życie przeszło mu obok. Ot, i cała moja reporterska filozofia.

Doprowadziła cię ona w najdalsze strony świata. Pozwoliła zaliczyć pod żaglami blisko 40 tysięcy mil morskich, zdobyć patent jachtowego sternika morskiego, sześciokrotnie przepłynąć równik, wrócić cało z Trójkąta Bermudzkiego, uczestniczyć pod wodzą Krzysztofa Baranowskiego w rejsie barkentyny „Pogoria” do polskiej bazy polarnej u brzegów Antarktydy...

- Zebrało się tego sporo, ale gdziekolwiek się znalazłem, zawsze był tam także „Dziennik Łódzki”. I to najpierw na jego łamach ukazywały się reportaże z Tadżykistanu, Nowego Jorku, Rio de Janeiro, czy Falklandów.

Jak chcesz pogodzić liczne zainteresowania i ciągle niewygasłe pasje ze stanem spoczynku, czyli emeryturą?

- Zamierzam wziąć się do pracy nad kolejnym tomem reportaży spod żagli, popatrzeć na Tatry ze szczytu Kościelca i popłynąć raz jeszcze atlantyckim szlakiem - tym razem w stronę tysiąca i jednej wyspy „karaibskiego raj”. Jedno jest pewne - cokolwiek mi się uda, „Dziennik” o wszystkim dowie się pierwszy.

Dziennikarz i obieżyświat / ze Zdzisławem Szczepaniakiem rozmawiał Paweł Patora // Dziennik Łódzki. Wiadomości Dnia. - 2002, nr 76 (30.03-1.04), s.16.



Zdzisław Szczepaniak:
Gdziekolwiek byłem,
tam także był
„Dziennik”

Gdy „kontrola” jest na urlopie

Jeden z pierwszych tekstów Zdzisława Szczepaniaka zamieszczonych w Dzienniku Łódzkim, podpisany inicjałami Z S.

Dziwne stosunki zaistniały w okolicach Osiedla Żubardź. Godziny handlu przestały obowiązywać a zaopatrzenie znalazło się pod „zdechłym kanarkiem”.

Zaczęło się od tego, że w dniu 1 lipca br. Sklep PSS z nabiałem i pieczywem przy ul. Czarnkowskiej zamknął rzeźnik dla przeprowadzenia remontu. Upłynął już miesiąc i nic się w nim nie dzieje. Pozostał w zastępstwie sklep PSS przy zbiegu ul. Lutomierskiej i Popiela, gdzie jak za „dobrych” czasów wojennych czeka się w długiej kolejce, bo sklep zamykany jest już o godz. 18.00 a o godz. 17.00 nie ma takich artykułów jak chleb, masło itp.

W dniu 1 bm. o godz. siedemnastej z minutami nie można było dostać chleba ani w sklepie przy ul. Popiela, ani przy Lutomierskiej 69 ani też przy ul. Tyburi (MHD). Tak, że cała okolica w promieniu około kilometra była pozbawiona chleba. Kierownicy tych sklepów uważają stan taki za normalny i radzą, aby zaopatrywać się w chleb wcześniej. A jak to robić, gdy się pracuje do godz. 16.00?

Sklep przy ul. Lutomierskiej 69 z artykułami chemicznymi w dniu 28 lipca już o godz. 17.30 został zamknięty mimo, że godziny obowiązuje od 10-18.

Jednym słowem dystrybucja i dyscyplina pracy w handlu na Żubardziu wyjechały na urlop.

Gdy „kontrola” jest na urlopie / (Z S) // Dziennik Łódzki. - 1962, nr 187 (7.07), s. 4.

Łódź- śladami ludzi i zdarzeń. Reportaże z lat 1960-2010

Zaproszeni przez Wydawnictwo Literatura do publikacji swoich dawnych reportaży dziennikarze pracę zawodową zaczęli po roku 1960 lub niewiele później. Jest ich pięcioro: Małgorzata Golicka- Jabłońska, Jacek Indelak, Paweł Patora, Gustaw Romanowski i Zdzisław Szczepaniak. Wszyscy byli później w opozycji, wszyscy zostali wyrzuceni z pracy w stanie wojennym. Dlatego tak niewiele jest w tym tomie tekstów z lat 1982-1989, bo tylko dwóm spośród nich udało się znaleźć „zastępcze” miejsce druku.

Artykuły w większości są poświęcone Łodzi i regionowi. Autor wyboru przyjął założenie, że teksty musiały być wydrukowane - zatem w zbiorze nie znalazły się te usunięte przez cenzurę albo zatrzymane przez samą redakcję - *Czytelnik musi mieć możliwość sprawdzenia, czy autorzy czegoś po latach nie poprawili* - żartował w czasie spotkania autorskiego Zdzisław Szczepaniak.

Paweł Patora tak tłumaczył swoją decyzję: - *Zgodziłem się na publikację, choć wstydzę się swojej ówczesnej naiwności i braków warsztatowych. Ale w tych tekstach jest obraz tamtych czasów. Także Jacek Indelak, dziś pisarz i filmowiec, chce się przypomnieć dawnymi reportażami społecznymi. A Gustaw Romanowski uświadamia, że w pisanych w PRL tekstach interwencyjnych trzeba było niekiedy używać rozmaitych chwytów, żeby „cenzura puściła”. W efekcie materiał nie zawsze był taki, jaki by się chciało...*

Najważniejsze jest jednak to, co we wstępie pisze Zdzisław Szczepaniak: ten zbiór reportaży ma przywrócić pamięć o wydarzeniach sprzed lat, ale także sprawdzić,

czy teksty nie straciły dawnej siły oddziaływania.

Nie straciły. Większość sprawdza się i dzisiaj, choć opis tamtych czasów, ludzi i miejsc czyta się po latach od nowa, inaczej. Bo przecież wtedy czytelnicy byli blisko opisywanych wydarzeń, znali tę rzeczywistość z autopsji, rozumieli wszelkie uwarunkowania, jakim podlegali i bohaterowie, i opisujący ich dziennikarze. - *Dziś ci starsi nadal potrafią czytać między wierszami, jak wtedy* - uważa Zdzisław Szczepaniak.

A czy młody czytelnik wszystko zrozumie? - *Obawiam się, że może mieć z tym problem. Nie będzie na przykład wiedział, czym był „kwaterek” i do czego była potrzebna „martwa dusza”, czyli fikcyjnie domeldowana osoba. Może przydałby się słowniczek?* - zastanawiał się Gustaw Romanowski. [...]

[Recenzja książki] / mks // Kalejdoskop. – 2014, nr 1, s. 6.

Łódź- śladami ludzi i zdarzeń. Reportaże z lat 1960-2010, red. Z. Szczepaniak, Łódź, Wydawnictwo Literatura, 2013.



Duma z całego nazwiska

Pracę, którą tylko w przenośni można by wówczas nazwać dziennikarską, rozpocząłem w lipcu 1962 roku (jako student II roku polonistyki i nieśmiały współpracownik Działu Wojewódzkiego), by we wrześniu tegoż roku opublikować z niemalą tremą swój pierwszy reportaż. Dotyczył on niemieckiego ataku na bezbronny Wieluń we wrześniu 1939 roku i w dodatku po raz pierwszy podpisałem go nie dwiema literkami jak to robiłem w przypadku innych tekstów, ale całym nazwiskiem. Dumi z tego powodu nie podejmuję się opisać nawet dzisiaj... [...]

Fragment ar. *Życie to zysk – nie strata*, czyli... wyznania jubilata / Zdzisław Szczepaniak // Polska. Dziennik Łódzki. Dod. Kocham Łódź. - 2013, nr 45 (22.02), s. 11 [nr dod. 222].

Tam, gdzie spadły pierwsze bomby... [fragment]

1 września 1939 roku wiekowy Wieluń przeżył jedną z najstraszniejszych tragedii w swej historii. Śpiących mieszkańców obudziło wycie syren i detonacje bomb. Jako pierwsze w kraju - miasto zostało zaatakowane przez lotnictwo hitlerowskie. W dniu tym zginęło w Wieluniu 2137 osób.

Dzień przedtem - czwartek, 31 sierpnia 1939 roku

Dyrektor Miejskiego Szpitala - dr Zygmunt Patryn - przeprowadza rozmowę w wielunińskim starostwie. Mówi o przepełnieniu szpitala, dużej liczbie ciężko chorych, prosi o instrukcje na wypadek rozpoczęcia działań wojennych. „Władza” replikuje z miejsca: „Taka ewentualność nie może być w ogóle brana pod uwagę, żadnej wojny nie będzie. Polska prowadzi układy, trwają rokowania”. Doktor Patryn wraca do szpitala. Jednak jeszcze tego samego dnia, kierowany siłą wewnętrznego przekonania, przeprowadza selekcję chorych i część z nich, mimo wyraźnych oporów, wypisuje natychmiast do domów. Ci ludzie jutro będą zawdzięczać mu życie.

Piątek, 1 września 1939 roku, godzina 4.45

Dziwny, potworny dźwięk. Narastający świst i głuchy, tępy huk wyrwa ze snu doktora. Sypie się szkło pociętych szyb. Doktor zrywa się z łóżka, łapie jedną ręką ubranie i wybiega w białiznie do ogrodu łączącego dom ze szpitalem.

Są tam ludzie - przerażeni, krzyczący - część pacjentów i personelu. Znow gwizd, łomot. Sypią się odłamki, ziemia, kamienie. Trzecia bomba trafia prosto w szpital. Stary, prawie stuletni budynek zawala się aż do piwnic. Krzyk - przeraźliwy, narastający krzyk. Ranni - masa rannych. W pomieszczeniach aptecznych szkielet doświetlonej spalanej jednej z sióstr. Prowizoryczne opatrunki, gorączkowe polecenia. I na ułamek sekundy spojrzenie w niebo. „Jak nisko lecą.. !” Dzwoni w uszach odgłos ciągłych wybuchów. Po kolejnym nawrocie samoloty odlatują.

Ulica. Biegący człowiek z urwaną ręką. Rynek, którego już nie ma. W ciężkim, czarnym dymie zabytkowa czter-nastowieczna kolegiata.

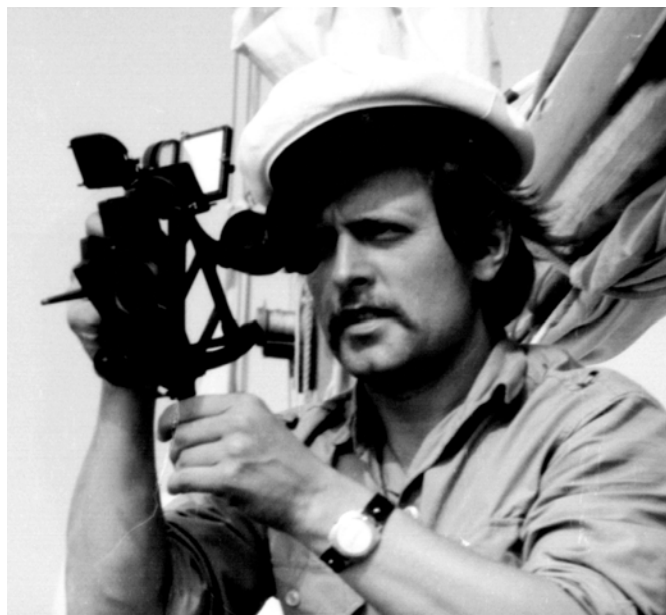
I znow szpital - płacz noworodków, których matki oszalałe ze strachu zdążyły uciec, zapominając o szarpącym wnętrzości bólu i tych, jeszcze nic nierozumiejących, drobnych ciałkach. Litościwe ręce układają maleństwa na wozie jadącym w stronę Sieradza, gdzie za kilka dni znajdą je, być może, szukające i zrozpaczone matki.

Droga na Sieradz. Karawana krwawiącego i krzyczącego ludzkiego cierpienia, strachu i bezradności. Dzieciatki, setki oszalałych, przepychających się ludzi. Innych niż wczoraj, którym nie mogłoby się przyśnić to wszystko w ich przerwanych nagle śnie.

Na skutek nalotu uległo zniszczeniu około sześćdziesiąt procent wszystkich budynków. Po wielu ulicach nie zostało śladu. Miasto nie było żadnym punktem strategicznym, nie miało obiektów wojskowych - nawet własnego garnizonu. Nie zorganizowano tu żadnej akcji obronnej, nie było artylerii przeciwlotniczej, nawet straż pożarna opuściła płonące miasto. Zostało otwarte i bezbronne. Fakt, że pierwsze bomby spadły właśnie na oznaczony międzynarodowymi znakami szpital, urasta do rangi symbolu - tak charakterystycznego dla tej wojny. Stał się zapowiedzią wszystkich przyszłych zbrodni i uosobieniem hitlerowskiego barbarzyństwa. Doktor Zygmunt Patryn pokazuje szereg zdjęć: „O! To jest właśnie nasz nowo odbudowany szpital”. Oddano go do użytku w 1954 roku. Mieści pięćset łóżek i szereg oddziałów, jak: chirurgiczny, położniczo-ginekologiczny, gruźliczy i inne. Należy już do historii nowych czasów - nowego życia budowanego na gruzach. [...]

Tam, gdzie spadły pierwsze bomby... / Zdzisław Szczepaniak // Dziennik Łódzki. – 1962, nr 211 (04.09), s. 3.

Reportaż ukazał się również w książce: *Łódź - ślady ludzi i zdarzeń: reportaże z lat 1960-2010*, red. Zdzisław Szczepaniak, Łódź, Wydawnictwo Literatura, 2013.



Trudna sztuka nawigacji...

LEKTURA OPTYMISTYCZNA Z WIATREM... I POD WIATR

Zdzisław Szczepaniak wydał czwartą już książkę i na 360. jej stronach wraca po raz kolejny do swoich żeglarskich, przeżytych przed laty przygód. Myślę, że ten doświadczony dziennikarz, którego losy zawodowe związane były głównie z „Dziennikiem Łódzkim”, zapewne nigdy nie czuł się na swoim miejscu, pisując sprawozdania z różnych nudnych imprez czy opracowując wywiady z nieciekawymi ludźmi. Zapewne zawsze chciał pisać książki lekkie, łatwe i przyjemne, nie krytykując przy tym nikogo ani tym bardziej nie wytykając ludziom ich ciemnych stron życia. Teraz, kiedy ma więcej czasu, bo nie musi pracować na etacie, publikuje przeciętnie jedną książkę rocznie.

Są to książki pisane jakby na jednym oddechu, a styl gawędziarskich opowieści Szczepaniaka nie ma raczej nic wspólnego z jego dziennikarskim doświadczeniem. To zabawne na ogół historie, opowiedziane językiem na pewno dużo bliższym Kornelowi Makuszyńskiemu niż Ryszardowi Kapuścińskiemu. Świat wyczarowany przez autora jest pełen ciekawych ludzi, a życie to nieustanna przygoda - można by wnioskować najszybciej, przerzucając kartki *Bigosu tropików*, *Przygodzie na imię Pogoria*, *Dziewczyny z Trogi-ru* czy ostatniego tomu zatytułowanego *Z wiatrem... i pod wiatr*. Ale bawiąc się sam tym lekkim i jakby „niedzisiejszym” stylem, Szczepaniak daje czytelnikowi oprócz łagodnej rozrywki także dozwolone umiejętnie porcje wiedzy historycznej, geograficznej, podróżniczej. Oto np. jak opisuje wpłynięcie jachtu, którym podróżował do hiszpańskiej Malagi: *Wiał ciepły wiaterek, a słońce przylgądające się nam z bezchmurnego, styczniowego nieba obiecywało zbrązowić nieco nasze wyblakłe facjaty podczas włączki po mieście założonym tysiąc lat przed naszą erą. Na pomysł osiedlenia się w tym miejscu wpadli bardzo przedsiębiorczy faceci słynni z tego, że podobno wynaleźli pieniądze. Mam na myśli oczywiście Fenicjan, którzy niedługo po tym, jak docenili walory tutejszej gleby i klima-*

tu, wyparci zostali przez Kartagińczyków. Ich z kolei wygonili Rzymianie, którym następnie pogonili koczownicy Wizygoci. Na nich nie skończyła się jednak wielonarodowa przepychanka, ponieważ w VIII wieku naszej ery Wizygotów usunęli Arabowie. Wytrwali w tej krainie winem i miodem płynącej blisko 800 lat, czyli do czasu, gdy w ramach tzw. rekonkwisty odebrali im Andaluzję władcy Kastylii. To oczywiście podana „w pigułce” repetycja encyklopedyczna wpleciona w błahą relację z włóczęgi grupy polskich jachtowiczów po ulicach portowej Malagi.

Czwarta książka Szczepaniaka, owa *Z wiatrem... i pod wiatr* to opis trzech jego rejsów na jachtach „Aldis” i „Odkrywcą” po Bałtyku i jachcie „Zawisza Czarny” po Atlantyku i Morzu Śródziemnym. Choć słowo „opis” nie bardzo chyba odpowiada metodzie narracji przyjętej przez Szczepaniaka. A jest to narracja osobliwa, bo oto, do jakiej zabawy wciąga czytelnika autor. Więcej jeszcze raz cytuję: *Nie mogłem, niestety, jak inni ukończyć w koi, ponieważ miałem spore zaległości w pisaniu listów do domu, a także oczekiwanych przez redakcję „Dziennika Łódzkiego” reportaży z przebiegu rejsu. Działo się tak nie tylko z powodu okresowego lenistwa i niechęci do machania długopisem, ale głównie z powodu małej ilości czasu, pochłanianego głównie przez intensywne życie portowe. Mimo aprobaty dla takich właśnie zajęć ten i ów z Czytelników mógłby jednak za-*



Algier. Na pokładzie „Zawiszy Czarnego”

pytać: „A nie mogłeś to, bracie, pisać tych listów i gazetowych kawałków po drodze - między jednym portem a drugim?”. *Ba, w tym sęk, że nie mogłem i nie powinienem.* I dalej wywód w tym stylu o różnych przesądach i zwyczajach panujących na morzu, dokumentowanych cytatami ze znanych książek marynistycznych Karola Borchadta.

Zdzisław Szczepaniak postawił więc w swoim piśmarstwie na gawędę, w której czas teraźniejszy miesza się z odległą przeszłością i najbliższą przyszłością, gdzie chronologia następujących po sobie wydarzeń co chwilę przysiadła na wesołych dygresjach i zabawnych odwołaniach do czytelniczej dociekliwości. Wydaje się, że Szczepaniak jako pisarz w znacznym stopniu ociera się - zwłaszcza w swojej ostatniej książce - o mistrzostwo tej stylistyki niestosowanej dziś już raczej przez autorów literackich reportaży. Dlatego warto polecać podróżnicze gawędy Szczepaniaka jako lekturę dla młodzieży. Dzisiaj, kiedy miejsce książki zajmuje na biurku młodego człowieka nieodłączny komputer, łatwe w czytaniu opowieści tego autora, pełne barwnych opisów przygód na morzach i w dalekich portach, tchną pogodnym optymizmem. To ich niewątpliwy walor wart wykorzystania i wprowadzenia na listę pożytecznych lektur z dydaktycznym przesłaniem. Bo nie to jest najważniejsze, że książki Szczepaniaka czyta się nader lekko a ich przejrzystą i optymistyczną treść można szybko przyswoić, szukając lektury relaksowej, ale niepozbawionej także przymiotów edukacyjnych. Myślę, że najważniejszy jest w nich właśnie ten optymizm, którego pisarz nie pozbywa się od pierwszej do ostatniej strony swojej najnowszej i chyba najdojrzałej w dorobku lite-

rackim książki.

Warto też zwrócić uwagę, w jaki sposób Szczepaniak pisze o swoich współtowarzyszach morskich peregrynacji i wszystkich innych spotykanych po drodze ludziach. Zgodnie z zasadą reportażu zawsze wymienia ich prawdziwe imiona i nazwiska. I choć nie oszczędza tym swoim przygodnym bohaterom opisów ich różnych śmiesznych wad i drobnych przywar, pisze zawsze o nich ciepło z nieodłączną nutą sympatii.

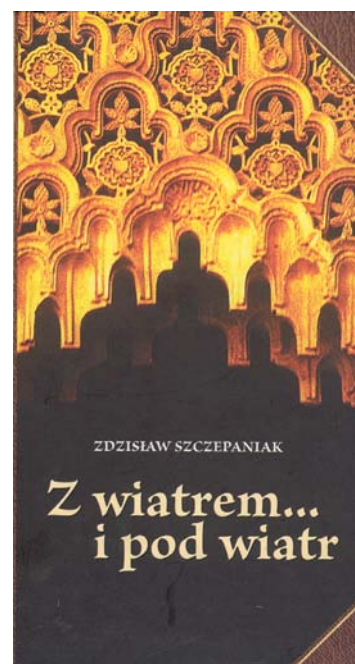
Być może w jego opowieściach nie pojawiają się ludzie marni i źli, bo zetknięcie się z nimi na swojej drodze po morskich szlakach i portach celowo przemilcza. Może tak jest, a może po prostu Szczepaniak woli głosić z kart swoich książek, że ludzie są w zasadzie dobrzy a tylko miewają złe dni.

Szkoda tylko, że ta książka wydana starannie przez Agencję Wydawniczą „Agar” - choć może przydałby się druk w nieco większej czcionce - ukazała się tylko w małym, liczącym tysiąc egzemplarzy nakładzie. Szkoda, bo wiadomo, że z takim nakładem nie ma szans znaleźć się we wszystkich polskich klubach żeglarskich, nie mówiąc już o bibliotekach szkolnych. A tam z pewnością bardzo by się przydała.

Lektura optymistyczna Z wiatrem... i pod wiatr / Gustaw Romanowski // Kronika Miasta Łodzi. - 2008, nr 3, s. 264-266.



Pierwsze bałtyckie wachty



WOLNE MIEJSCE

Fragment recenzji książki
Z. Szczepaniaka,
*Dziewczyna z Trogiru i inne opo-
wiadania*, Łódź,
Piątek Trzynastego, 2005.

[...] Niesie więc Zdzisław Szczepaniak cały garb spotkań, zdziwień, zagadkowości i tego, co chcielibyśmy „zobaczyć innym wzrokiem”. W poprzednich książkach opisywał swoje marynarskie przygody. „Bigos tropików”, „Przygodzie na imię „Pogoria” - tam także są ci spotkani w drodze, ale przeważa zachwyt reporte-

ra fabułą podróży, akcją. To, co tworzy wartość szczególną książki „Dziewczyna z Trogiru i inne opowiadania” to Człowiek. Ten, który opowiada, dzieli się częścią swojego życia, otwiera się i mówi: patrz jaki jestem bezbronny... Ktoś, kto podwójnie stracił pamięć, ktoś, komu pojawiała się i pozowała do szkicowania dziewczyna, która zmarła już dawno. Człowiek przenoszący tajemną siłą woli przedmioty bez ich dotknięcia. Inny - zakochany do obłędu w znakomitej natenczas „syrence”, automobilu konkurującym z żoną właściciela. Dziewczyna - zwana w opowiadaniu czarownicą - zatamowała krwotok „zakłęcia-
mi”. W szpitalu w Adenie objawił się autorowi Chrystus. Jak zahipnotyzowany, Szczepaniak szedł do niego... Mumia i lalki w sklepie Hindusa z Mombasy poruszały się - może z nagrzanego powietrza, a może... Przerazającym sztorm na wodach Atlantyku w Trójkącie Bermudzkim ciskał trzynastometrowym jachtem, na którym płynął opowiadający, i wówczas przeżywał ekstazę spotkania z kosmosem, z nieskończonością, godził się na najgorsze, na śmierć. Zdzisław Szczepaniak podzielił zbiór opowiadań na trzy części: „Za zamkniętymi drzwiami” - w tej dominują opowieści zasłyszane przez autora; „Pod obcym niebem”, „Na łasce oceanu” - tu Szczep-



paniak opowiada o swoich przeżyciach. I bez względu na pozycję narratora te „drogi prowadzą zawsze do ludzi” (Antoine de Saint-Exupery). Albo jemu opowiedziano, albo on nam opowiada o swoim podziwianiu świata, zdziwieniu tym, jak i dlaczego potoczyły się losy. I o tę wiedzę my stajemy się bogatsi. [...]

Wolne miejsce / Piotr Słowikowski // Kalejdoskop. - 2005, nr 12, s. 19-20.



CZŁOWIEK Z EPOKI WIĘZIEŃ

Od autora

Przez całe dziesięciolecie, na żadnym etapie edukacji, nie tylko mnie, ale i innym łodzianom nie mówiono o kimś takim, jak Aleksy Rzewski... Ale po wielu latach tego przymusowego milczenia Jerzy Urbankiewicz - dziennikarz, pisarz, żołnierz AK i więzień sowieckich łagrów - w książce Pustka na piedestałach mógł wreszcie napisać o słynnym „Przeboju”: „**Postać to w dziejach walki społeczeństwa łódzkiego o wolność Polski wybitna, wymazywana z tych dziejów w okresie PRL-u**” [...]

Zginął tak, jak żył - w walce, o której ciągle wiemy zbyt mało. Podobnie jak o czasie nazywanym „epoką więzień”, o łodzi z przełomu XIX i XX wieku oraz o życiu tych jej mieszkańców, którym nie tylko dokuczały nędza i głód, lecz także coraz bardziej cięższe kajdany niewoli. Próbowali je zrywać wielokrotnie - walcząc z niezwykłym poświęceniem o wolność narodową i społeczną. Aleksy Rzewski był jednym z nich - niepokornych i zbuntowanych. Właśnie po to, abyśmy mogli wiedzieć i pamiętać więcej, powstała ta książka.

Przedstawiając tę opowieść Czytelnikom, chciałbym poświęcić kilka zdań konwencji, jaką wybrałem do zapisu tego, co udało mi się dowiedzieć o Aleksym Rzewskim, jego życiu i działalności. Otóż zamiast wyobrażać sobie Jego przeżycia i opowiadać o nich „swoimi słowami” wolałem, by jak najwięcej mówił o tym on sam. Ja miałem być jedynie uważnym „słuchaczem” jego wyznań, pośredniczyć w wydobywaniu z zapomnienia Jego dokonań, przeżyć i refleksji.

W tej szczególnej „rozmowie” (odwołującej się przede wszystkim do autobiograficznych artykułów, wspomnień książkowych i innych publikacji Rzewskiego) słynny niegdyś „Przebój” rozpamiętuje i ocenia to wszystko, co składało się na długie lata „walk rewolucyjnych z trójbórcami”, na życiowe doświadczenia, przekonania, klęski i sukcesy. Opowiada o więzieniach w kraju i w Rosji, syberyjskim zesłaniu, latach pobytu na obczyźnie, tułaczce po Francji i Niemczech, ucieczkach i powrotach, odniesionych ranach, zmianach pseudonimów, unikaniu zasadzek,

szpicli i donosów...

Poza jego osobistymi zapiskami, które stały się fundamentem niniejszej opowieści, moją wiedzę o Aleksym Rzewskim oraz czasach, w których przyszło mu żyć i walczyć, wzbogaciły także publikacje książkowe oraz różnego rodzaju opracowania, które mówiły o Nim oraz o innych „ludziach z epoki więzień” i wiodły mnie dawnymi „szlakami walki i buntu”. Do tych informacji nawiązuję w oddzielnych notach – pomyślanych jako uzupełnienie faktów dotyczących ludzi oraz wydarzeń, o których opowiada Aleksy Rzewski.

Wracając do wspomnianej konwencji „rozmowy” (a właściwie monologu mego bohatera), sądzę, że założenie to pozwoliło na przedstawienie Jego działalności w sposób odległy od suchego „życiorysowego” zapisu, a także zwrócenie uwagi na poświęcenie i patriotyzm współtowarzyszy walki Aleksa Rzewskiego o wolną i niepodległą Polskę. Nazwisk wielu z nich nie zachowały podręczniki historii, choć ona sama wpisywała je tak często na długie listy zabitych, rannych, więzionych i zsyłanych na Sybir. To między innymi o nich upominał się „Przebój”, kiedy przed laty pisał: „**Myślałem wówczas, a i dziś nie wypieram się tej szczególnej nadziei, że gdyby można było odgrzebać z prochu zapomnienia tych wszystkich bezimiennych bohaterów, spoczywających w nieznanym grobach na poboczach naszych miast i wiosek, gdyby chciał szczerze wnikać w ich żywoty ciche i ofiarne, to wówczas być może rozplamieniliby się niejedno zimne i samolubne serce, których i teraz nie brakuje...**”.

Zdzisław Szczepaniak, Człowiek z epoki więzień, Łódź, Narodowe Centrum Kultury, 2013.



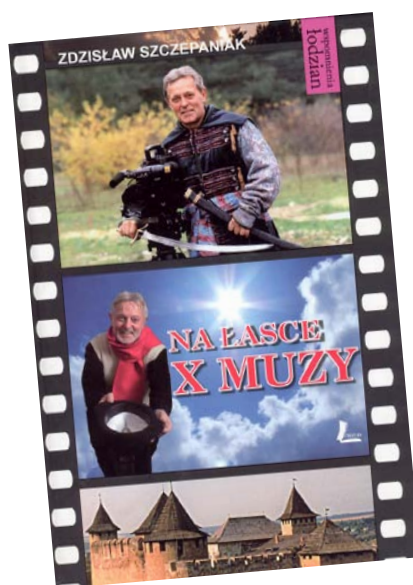
Na planie filmu dokumentalnego „Nekropolis. Trójęprzymierze cieni”

JÓZEF WASIOŁEK: MALARSTWO

Fragment recenzji Janko Muzykant z pędzlem w ręku / Łukasz Kaczyński // Polska. Dziennik Łódzki. Dod. Kocham Łódź. - 2011, nr 52, s. 4 [nr dod. 119]

Postać malarza, bazując na okazjonalnych zwierzeniach i „naznaczonych życiem refleksjach”, odtwarza w napisanym ze swadą wstępie Zdzisław Szczepaniak. Tym samym podsuwa tropy niezwykle pomocne w ocenie i interpretowaniu malarstwa Mistrza Wasiołka.

Józef Wasiołek: malarstwo, red. Tomasz Osypowicz, wstęp Zdzisław Szczepaniak, Łódź, Wydawnictwo OMI / ART, [ca 2011].



OD PAZIA KSIĘŻNEJ PO CHRYSTUSA I PROFESORA

Jak przeżyć rozstrzelanie na planie filmowym?

Czemu dziennikarz paradował w sutannie?

Jak przenieść się w czasie?

Odpowiedź na te i inne pytania znajdziemy w książce

Zdzisława Szczepaniaka „Na łasce X Muzy”.

Szczepaniak, publicysta i reporter związany niegdyś z „Dziennikiem Łódzkim”, jest żeglarzem i obieżyświatem. Dzięki jego nowej publikacji czytelnicy poznają także jego związki z kinem - zobaczą w nim lektora list dialogowych, autora komentarzy do filmów przyrodniczych oraz aktora amatora. W książce „Na łasce X muzy” zdradza kulisy powstawania obrazów takich jak „Pogrzeb kartofla” Jana Jakuba Koloskiego czy „Idol” Feliksa Falka.

Szczepaniak debiutował na planie filmowym podczas zdjęć do „Krzyżaków”. Został paziem księżnej mazowieckiej. Miał stać nieruchomo, z taczą w rękach i uważać, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Dzięki tej funkcji jego kariera filmowa nabrała rozpędu. W „Idolu” wystąpił u boku Janusza Gajosa. W „Małym dekalogu” Jana Jakuba Koloskiego zagrał Chrystusa nawet dał się rozstrzelać. Biała suknia poplamiona filmową krwią wywołała lament kobiet z pobliskiej wioski.

Dzięki opisowi pirotechnicznych i charakteryzatorskich sztuczek czytelnik poznaje filmową rzeczywistość od podszewki. „Słowiański świt” przyniósł Szczepaniakowi rolę neandertalczyka, jeźdźca z oddziału Hunów oraz Piasta Kołodzieja. Na planie tego filmu Andrzej Czulda dokonał zamachu na aktora amatora. A wszystko w wyniku niewinnego kłamstwa. Przyszłemu odtwórcy roli Piasta bardzo zależa-

ło na angażu. Zmyślił nawet, że potrafi jeździć konno, mimo że – jak sam pisze – ostatni raz siedział na koniu jako dziecko, i to twarzą do ogona, bo tak go usadził wujek. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy Szczepaniak musiał dosiąść narowistego ogiera. Grający mnicha Andrzej Czulda tak energicznie udzielił Piastowi błogosławieństwa, że rumak poniósł jeźdźcę. Szczepaniak nie potrafił się jednak długo gniewać na przyjaciela. Kilka lat później napisał komentarz do filmu „Nekropolis”. Tym razem Czulda powrócił do reżyserowania, a Szczepaniak przypomniał sobie o funkcji narratora.

Zanim jednak opowiedział widzom o „łódzkim Trójpřymierzu Cieni” i przypomniał historię Starego Cmentarza przy ul. Ogrodowej, wystąpił w „Pogrzebie kartofla” jako ksiądz.

W sutannie był tak przekonujący, że staruszki nieświadome, że mają do czynienia z przebierańcem, poprosiły go, by użył autorytetu i wytargał za ucho niesfornego Wiesia.

„Na łasce X muzy” to również powrót do czasów „Wehikułu czasu”; programu edukacyjno-rozrywkowego dla dzieci i młodzieży realizowanego przez Telewizję Polską.[...]

Od pazia księżnej po Chrystusa i profesora / Dominika Kawczyńska // Gazeta Wyborcza. Łódź. – 2014, nr 301 (28.12), s.7.



Radość wyczera z tego reportera...

Wiersze z przygotowanego do druku zbioru pt. „ZA KAŻDY KAMIEŃ TWÓJ...” – poświęconego Najmłodszym Powstańcom Warszawskim

SANITARIUSZKA „JOLA”

Jeszcze niedawno niańczyła lalki...

Kiedy to było? Pewnie wczoraj.

Dzisiaj dorosła jest – bo musi.

Przecież podręczną jest doktora...

Jeszcze niedawno niańczyła lalki...

Nie każda z nich wołała: „Mamo...”

Jak ten porucznik, taki młody...

Z brzuchem otwartym straszną raną...

Jeszcze niedawno niańczyła lalki...

Dziś myje chorych, doktor każe.

Potem ostrożnie im odrywa

Z ran zaropiałych krwawe bandażę.

Jeszcze niedawno niańczyła lalki...

Wkrótce esesman ją zastrzelił,

Broniła rannych przed dobieciem,

Nie obronili jej anieli...

Jeszcze niedawno niańczyła lalki...

Ojca wywieźli gdzieś do Tobolska.

Brata zabili na Mokotowie,

Matkę na Woli...

RODZINA POLSKA...

ROZTERKI MAŁEGO POWSTAŃCA

- Czy niemieccy żołnierze czasem płaczą?
- Czy się modlą i proszą Boga żeby im błogosławił, kiedy do nas strzelają?
- O czym będą pamiętać niemieccy żołnierze, którzy tutaj nie zginą?
- Czy będzie im kiedyś nas żal?
- Czy się przyznają, że zabijali polskie dzieci?
- Że gnali je przed czołgami?
- Że palili je miotaczami ognia, kiedy chowały się w piwnicach?
- A co się stanie z Niemcami, kiedy wrócą do swoich domów, zestarzeją się i normalnie umrą? Czy Pan Bóg przypomni im co robili w Warszawie?

* * *

- Aha, i najważniejsze:
- CZY JAK ZABIJEMY NIEMCA TO JEGO DZIECI BĘDĄ MYŚLAŁY, ŻE ZABILI GO ŻŁI LUDZIE?

FOTOREPORTER SIĘ DZIWI

...od sierpnia do października
zrobiłem tysiąc zdjęć
(albo i więcej)
byłem wszędzie
widziałem wszystko
jestem kronikarzem powstania
które dogorywa
skończyłem pracę
nie mam już klisz

ale co tam klisze
skoro
nie ma co jeść
nie ma co pić
nie ma domów
nie ma szyb w oknach
nie ma całych ulic
nie ma kolegów
(a jeszcze wczoraj żyli)

nie ma kościołów
nie ma kawiarni
nie ma ptaków
nie ma liści na drzewach
nie ma jak przejść
na drugą stronę ulicy
nie ma po co walczyć
nie ma nadziei
nie ma złudzeń
nie ma czasu
nie mam już ochoty fotografować...

* * *

To miasto umiera
ja umrę jutro
inni już umarli
tylko ten chłopiec
patrzy tak
jakby nie było mu wszystko jedno
uśmiecha się więc pytam:
- Czemu się uśmiechasz?
- Bo umazał się pan na nosie...

* * *

Boże wielki
to przecież koniec
tu już nic nie ma sensu
ale dzieci nadal
umieją się uśmiechać bez powodu
co za miasto

TYLKO TALERZ...

Szedł ostrożnie
powoli
z talerzem zupy
dla ранnego powstańca
przedtem poprosił:
„Nalejcie dużo – on dawno nie jadł”

idąc bał się tylko jednego
„Żebym czasem nie rozlał...” -
pomyślał
to prawda
szkoda byłoby takiej grochówki
niepodobnej do zwykłej „plujki”
z jęczmienia przyniesionego na kwatere
z magazynów Haberbuscha

on sam zjadłby co najmniej
dwa takie talerze
może jeszcze trochę zostanie
jak wróci
jak się nie będzie tak grzebał
podniósł głowę
popatrzył przed siebie
porucznik „Wicher” też patrzył na niego
głodnymi oczyma zjadł już połowę tej zupy

i wtedy
ta bomba
zawołała wszystkich do nieba
tylko pusty blaszany talerz
który przez chwilę udawał latawiec
ocalał

KRAJOBRAZ PO BITWIE...

...Modlitewne kapliczki w bram wnekach
Przed którymi przechodzić nie klęka
Tylko muchy wielbią te ołtarze
Z szyb strzaskanych utkane witraże...
Tylko wiatr wygwizduje pacierze,
Tylko echo powtarza: „JA wierzę...”

Lasy krzyży rosną na podwórkach,
- tutaj ojciec spoczywa, tam – córka...
Deszcz mogiłki roztopia, rozmywa
- tutaj syn, a tam matka spoczywa...
Kwiatki uschły, lecz jednak jest pięknie.
Śmierć już poszła. Nikt się jej nie zleknie...

Przed piękniem i kapiącym kranem
nie ma żadnej kolejki nad ranem.
Już nikogo ta woda nie zbawi,
nikt już na nią życia nie postawi.
Choć niedawno było tak inaczej...
Kran pamięta... i kroplami płacze.

Przez uliczne wymarłe kaniony
Żaden łącznik nie biegnie strudzony.
Stosy gruzów... Na gruzach „panterka”...
Kto ją nosił? – być może harcerka,
Lub powstańczy gazeciarz – lat dziesięć,
Co w ostatnią wkroczył życia jesień...

W potrzaskanej, pogietej tablicy,
która imię dawała ulicy,
która walkę widziała i lament –
epitafium dla miasta? Testament?
Obietnica – skarga – oskarżenie?
Że miast ludzi na ulicach – cienie...

Chrystus z krzyżem – z rozpaczą kamienną
patrzy w miasto jak w otchłań bezdenną,
w której znikło to wszystko, co święte
robiąc miejsce temu, co przekłete...
Co się piętnem kainowym chlubi
i zgubiwszy brata... siebie gubi.

Szkielet domu rozdarty, rozpruty,
od nikogo nie żąda pokuty
lecz o zemście do nieba coś krzyczy,
i na powrót mieszkańców wciąż liczy.
Lecz niektórzy tu są – zawsze byli.
(Tydzień temu ich wszystkich spalili...)

Przemieszcza z gruzem swoje kości...
To warszawski fundament wolności!
Kto i kiedy coś na nim zbuduje,
Zliczy straty, ścieżki wyprostuje?
Może z czasem podpowie historia...
TAK JAK ZAWSZE? Że „victis”... i „gloria”...?



Wybór materiałów: Zdzisław Szczepaniak, Ewa Baranowska
Zdjęcia zamieszczone w BIBiK-u pochodzą ze zbiorów Zdzisława Szczepaniaka.
Skład: Julita Lenzian-Twardowska
Nakład: 100 egz.

Numerы BIBiKa dostępne są na stronie www.wimbp.lodz.pl w dziale Wydawnictwa własne
Bezpośredni link do archiwum BIBiK-ów bibik.wimbp.lodz.pl